

ROLA

Rok VI.
Kraków, dnia 11 lutego 1912 r.
Nr. 6.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy: do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków. ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

O MROZIE.

Zima ustaliła się na dobre. Śnieg pokrył ziemię, a mrozy dochodzą do 15 a nawet w niektórych miejscowościach do 20 stopni. Śnieżne zawieje też dają się dobrze miejscami we znaki, zasypując drogi i koleje.

Jednem słowem — mamy zimę tęgą, co się nazywa! Daje się też ona dobrze ludziom we znaki. Jeszcze bogatsi dają sobie radę z zimnem: mają dobrze opatrzone domy, duże piece i drzewo na zawołanie. Ale co biedniejszy, mieszkający w chacie z cienkiemi ścianami i nie mający swojego lasu, musi dobrze się nabiedować i namarznąć, bo kupno opału to duży wydatek, a zarobki właśnie w tym czasie ustają, nie każdy zaś jest taki przewidujący człowiek, co sobie odłoży z lata jaki grosz na opał zimowy.

Ale i najbiedniejszy nawet człowiek, byle był zdrów, ma sposób na zimno a tym sposobem jest ruch i praca. Na dowód posłużyć może opowiadanie, które powstało na kresach Polski, na Ukrainie. Zimową porą dwaj bracia wędrowali po świecie: młodszy z nich był to mróz czerwony, bo gdzie się pokazał, ludziom czerwieniły się z zimna twarze, ręce i nosy; drugi starszy nazywał się mrozem sinym, ten był silniejszy, bo od niego ręce, nosy, i twarze siniały. Otóż te dwa mrozy spotkały jednocześnie na swej drodze pana, jadącego saniami, w futrach i baranicy i chłopa w krótkim starym kożuszku, idącego z siekierą do lasu po drwa. Mrozy, ponieważ lubią ludziom dokuczać, zaraz zabrały się do tych podróżnych; a że sprawa z chłopem licho odzianym wydała się łatwiejszą, więc uczepił się go mróz mniejszy, czerwony. A do pana wziął się mróz siny i jak zaczął zaglądać mu przez najmniejszą szparę pod baranicę i pod futro, to wkońcu pan zaczął dzwonić z zimna zębami i ledwo żywy dojechał do domu. Tymczasem chłop, przejęty mrozem, prędzej zaczął iść; nos i twarz śniegiem roztarł, a rękami bił się o boki i w taki sposób doszedł do lasu. Tu wziął się do roboty, ścina drzewa, rąbie je i robi mu się coraz cieplej, a o mróz ani dba! Mróz, widząc, że sam nic nie poradzi, wzywa na pomoc swego starszego brata, który już się z panem uporał i razem wzięli się do chłopa. Ale ten tylko żwawiej siekierą wywija, aż drzazgi z rąbanego drzewa lecą; pomimo mrozu pot mu z pod czapki kapie i tak się zrobiło gorąco, że w końcu zdjął kożuszek i w samym kaftanie drzewo rąbie. Mrozy oba nic nie zrobiły i ze wstydem musiały odstąpić.

Zresztą zimę zsyła nam Pan Bóg co roku tylko dla naszego dobra. Zapewne każdy zauważył, że większa część chorób, które tak ludzi trapią latem i jesienią, zwykle ustaje zimą. A to dlatego, że zarazki tych chorób, co znajdują się w powietrzu lub na zwierzętach albo na przedmiotach zdrowego zarażają chorobą — wymarzają i nie szkodzą. Możemy więc śmiało powiedzieć, że mróz jest prawdziwym przyjacielem naszego zdrowia.

Śnieg znowu, topniejąc wiosną, daje nam tę wilgoć, która jest tak potrzebną, aby nasze zboże, łąki i drzewa rozwijały się i rosły jak należy. Lód zaś służy do przechowywania długi czas na świeżo wielu rzeczy, które inaczej dawnoby zepsuły się i pogniły. Dlatego ludzie urządzają sobie lodownie i ubijają lodem, bo w czasie lata mogą dłużej trzymać tam mleko, mięso i ryby. Tak więc, chociaż nam nieraz zima dobrze dokuczy, ale trzeba to cierpliwie znosić, bo to dla naszego pożytku.

Ale jest inny mróz stokroć gorszy nawet od takiego mrozu, co chwyta nas za nos i uszy, krew ścina, przejmuje do kości i oddech zapiera, a na wąsach tworzy duże sople lodowe. Strasznym tym mrozem jest ten, co przejmuje i wyziębia ludziom dusze.

Zziębnięte ciało, w ciepłej chacie przychodzi do siebie, ale wyziębionej, zmrożonej duszy, nic już nie może zagrzać i ożywić. Człowieka z zimną, zmarzniętą duszą nie poruszy ani niedola braci, ani jęki i łzy cierpiących, ani nieszczęścia swego kraju rodzinnego, bo jego dusza to lód chłodny i twardy. Ciepło, które daje nasza Święta Wiara i miłość bliźniego nie mają do takiej duszy przystępu, została ona zmienioną w kawał lodu.

Mało tego, bo taki człowiek z zimną duszą, przez samo zetknięcie się z innymi mniej wytrwałymi ludźmi, szczególnie z młodymi, prędko swojemi mowami, wyśmiewaniem z rzeczy wielkich i ukochanych, wystudza te niedoświadczone dusze, które też zapominają o Bogu i Wierze, przestają kochać bliźnich, ojczyznę, rodzinę i stają się na wszystko zimnymi.

A w ostatnich czasach spotykamy takich wymarzłych na duszy ludzi coraz więcej! Więc rodzice, rozpalajcie duszyczki i serduszka waszych dzieci od małego już, przez nauczanie Wiary, Miłości i Nadziei, a potem podtrzymujcie to ciągle, aby ten straszny mróz niewiary i obojętności do nich nigdy się nie przedostał.

BEREZYNA.

Powieść historyczna z r. 1812.

Dobosz Markowski.

Wiosna. Nizina Wisły zazieleniła się cudownie tęczą wieloraką żywych barw. Kwitnącym krajem, w kierunku wsi nadrzecznej Ostrowca, spiesznym marszem posuwa się kolumna, złożona z piechoty, dwu dział, oraz kilku szwadronów jazdy. Dwa bataliony piesze pułku 6 Sierawskiego, dwa bataliony pułku Weyssenhoffa, oraz pułk 5 strzelców konnych Kazimierza Turny, wszystko pod naczelną sprawą jenerała Sokolnickiego.

Jest cichy odwieczerz majowego dnia. Kolumna dochodzi do wioski, przeznaczonej na nocleg. Piesze kompanie przyczyniają kroku, w szwadronach wesoło parskają konie na dobrą dla żołnierzy wróżbę.

Sokolnicki jedzie na czele kolumny. Szare, bystre źrenice wysłał na zwiady, w dół rzeki, gdzie blask zachodu gaśnie śród szeroko rozlanych wód. Patrzy uporczywie w tamtym kierunku. Hen, daleko, majaczeje przed nim niewyraźnie kształt osadzisty, wydłużony, niby ciemny grzbiet gradowej chmury.

Na niebie zapalają się pierwsze gwiazdy. Śród obszernego wygonu przed wsią Ostrowcem zatrzymuje się kolumna i roztasowuje na nocleg. Odmunsztukowano konie, ustawiono w kozły broń. Wystawiono czaty i podsłuchy. Rozkaz wodza pozwolił żołnierzom spocząć. Zabroniono surowo niecić ogni, warzyć strawy goracej. Na miękkiej murawie, pod gwiaździstym namiotem nocy majowej, przykucnęli żołnierze pojedynczemi gromadkami, zmuszeni poprzestać na sucharach i solonem mięsie, wieczerzy zwykłej w marszu.

W jednej z takich gromad stary wyga pułkowy, grenadyer Jabłoński, zwany »patryarchą pułku«, zebrawszy dokoła siebie rekrutów, tak ich poucza:

— Baczcie tedy, kamraty, abyście nie pokpili sprawy. Czeka nas batalia nielada. Austryaki, psia ich mać, z tamtego brzegu Wisły chcą przejść na naszą tu stronę. Usypali wielgachny szaniec, zasiedli w nim mocno, psie juchy, mają działa kartaczownice, jako się patrzy. Pod osłoną szańca stawiają na krypach most. Skoro go ukończą, będziemy wnet mieli na karku całą ich dywizyę. Zrozumieliśta?

— Czemu zaś nie mamy rozumieć? — odzywa się jeden z młodych żołnierzy. — Musim im nie dać dokończyć owego mostu.

— W sednoś utrafił, rekrucie. Żeby zaś mostu nie dać dokończyć — ciągnął dalej — potrza nam ich z onego szańca wykurzyć. Ino dobyć szańca nie fraszka. To nie to, co bój w polu otwartem, gdzie wroga masz na oku, libo na końcu swego bagnetu. Insza tam zgoła sprawa! Skaczesz do fosy, brniesz po pas w wodzie, wpadasz w jamy i wilcze doły, drapiesz się a tu ci z za węgła ukryty wróg kulkę posyła, albo z góry dźgnie bagnetem. Samem męstwem tu niewiele wskórasz. Trzeba się imać fortelu.

Rekruty, z namaszczeniem, z otwartemi ustami słuchają mowy bywalca. Połykają każde jego słowo, jak objawienie niezachwianej wyroczni.

— Na wszystko są sposoby Mam ci jeden wypróbowany. Nie pierwszyzna mi dobywać szańca. Obaczycie, że pierwszy będę w okopie. Kpem będę, jeśli tej nocy nie zarobię sobie na krzyż.

— Jakowyż to jest sposób? — nieśmiało odzywa się któryś z młodych.

Stary wyga spogląda na pytającego z góry, z drwiącym uśmiechem.

— Patrzcie go, jaki mądrala! Chciałbyś zbierać, czegoś nie posiał? Od czego zasie nosisz głowę na karku? Każdy ma swój rozum! Patrzcie mi go franta! Dajno który manierkę!

Rozkaz spełniono ze skwapliwością.

O kilka kroków wyciągnął się na murawie dobosz Markowski, dwunastoletnie chłopię. Wsparł się na łokciach, brodę oparł o dłonie. Błękitne, rozpłomienione źrenice utkwił w Jabłońskim, jak w tęczę. Dziecięca twarzyczka pała mu gorącym rumieńcem.

Wiarus zpod oka nań spojrzał.

— Cóż tak wiercisz we mnie temi ślepkami? — zapytał, uśmiechając się pod srogim wąsem. — Chciałbyś może, abym cię wyniósł na szańce na własnych plecach, jak wówczas, podczas marszu? Nic z tego! Na raz sztuka. Basta!

Żołnierze dokoła wybuchają śmiechem. Jabłoński ogląda ich rozweselonemi oczyma.

Twarz chłopięcia sponsowiała, jak burak. W jasnych źrenicach zabłysły gwałtem wstrzymywane łzy.

— Wiecie sami, że ja za niczyje plecy się nie kryję... przed frontem idę do ataku — głosem zdławionym wykrztusił.

— He, he! to mi sierdzisty wojak! Broni nie dźwignie, zato w cielęcą skórę bić umie sprawnie... »Przed frontem idę« — powiada. — Prawy rycerz i basta!

Żołnierze wybuchli śmiechem. Jabłoński, rad z konceptu, zwrócił się do rekrutów:

— Dajno który manierkę!

Markowski przypadł do murawy, aby ukryć płonącą twarz przed szyderczemi spojrzeniami żołnierzy. Wargi zagryzł do krwi, aby wobec towarzyszów nie wybuchnąć płaczem, jak dziecko. Na czole czuł jakby palący ogień niezmazanej hańby.

*

W jednej z chałup jenerał Sokolnicki stał spokojnie nad mapą tej okolicy, oczekując na przybycie gospodarzy wsi, których do siebie wezwał. Naraz dano znać, że przybył wyższy oficer z głównej kwatery księcia Józefa. Do izby wszedł jenerał Pelletier. Sokolnicki powitał go koleżeńskiem uściśnieniem ręki i pytającem wejrzeniem. Jenerał artyleryi oświadczył, że przybywa od naczelnego wodza z zaleceniem zachowania wszelkiej ostrożności w tem niebezpiecznem przedsięwzięciu. Rozpatrzywszy się w położeniu trudnem, wyraził osobiste zdanie, że dziś nie należy nic przedsiębrać. Sokolnicki słuchał w milczeniu z brwią ściągniętą. Zaczem wyszedł przed chałupę do zebranych gospodarzy. Wiadomości, jakich udzielali, brzmiały jednomyślnie: nieprzyjaciel po tej stronie Wisły, naprost Góry Kalwaryi, już prawie ukończył sypanie wielkiego szańca. Setki podwód, spędzonych z całej okolicy, zwiozły całe stosy budulca z okolicznych sosnowych lasów. Robota ciesielska wre we dni i noce. Austryacy mają już w okopie cały pułk piechoty i kilka sztuk armat. Pod osłoną szańca stawiają pospiesznie most na Wiśle, który jest na ukończeniu. Wysłuchawszy tej relacyi, Sokolnicki zwrócił się do Pelletiera oraz oficerów swojego sztabu:

— Widzicie waćpanowie, że nie możemy tracić czasu. Gdy nieprzyjaciel przeprawi się przez Wisłę, odrzuci nas w tył i zmusi cofać się do Gdańska. — W tym razie wszystko będzie stracone, a imię nasze zginie bez chwały. Tej jeszcze nocy musimy wziąć ten okop, most zniszczyć, albo wszyscy poledz.

— Radziłbym wszelako wpierw posłać parlamentarza — odezwał się Pelletier.

Sokolnicki głową skinał.

— Zgadzam się na to ustępstwo, jenerale, chociaż nie wróżę mu powodzenia. Nim parlamentarz wróci z odpowiedzią, będziemy gotowi do ataku.

Wnet padły rozkazy. Ufundowano dwa wyborowe bataliony. Nad pierwszym objął dowództwo szef batalionu Blumer, nad drugim podpułkownik Bogusławski.

Przed samą północą powrócił wysłany parlamentarz z odpowiedzią pułkownika austryackiego Czerwinka, iż szańca nie podda. Bataliony ruszyły do boju chyłkiem, w czarną głąb nocy. Wyszedłszy z obozu, bataliony rozdzieliły się i poszły różnemi drogami. Blumer powiódł swych grenadyerów wprost przed siebie, przez zarośla wikliny nadrzecznej i wody. Tymczasem batalion Bogusławskiego pomaszerował z ćwierć mili w górę Wisły, skąd miał okólną, lecz wygodniejszą drogę brzegiem rzeki ku okopowi. Obie kolumny skradały się milczkiem, w ciemności zupełnej. W pewnej chwili na mrocznem niebie nocnem, zamajaczył tuż, tuż przed nimi rosnący w górę, jakby grzbiet potężnej ciemnej chmury. Skróś szeregów przeleciał szmer głosów:

— Szaniec...

Podpułkownik Bogusławski, którego batalion uprzedził do szańca nadążających gorszą drogą grenadyerów, zatrzymał czoło swej kolumny. Gdy szyk bojowy był gotów, dał hasło do ataku.

W głęboką ciszę nocy runął naraz gwałtowny łoskot bębnów, ogłuszający alarm bojowy. Pierwsze szeregi, namacawszy pod stopami rowy, skoczyły w nie, przebrnęły fosę i z grzmiącym okrzykiem zaczęły się wspinać. Nagle runęła salwa ręcznych strzałów i z za parapetu ukazał się połyskliwy grzebień stalowych bagnetów. Załoga szańca wszystką swą siłę skupiła do odparcia ataku w tem miejscu. Piechury pułku walońskiego, dawszy salwę, spychali teraz bagnetami wdzierających się na parapet, strącając całe szeregi w dół, po stokach szańca. U szczytu, w słabo rozświeconym mroku nocy, wrzał bój zajadły, pierś o pierś, gdyż żołnierze Bogusławskiego, będąc spychani na całej linii, darli się uporczywie, z męstwem niezachwianem, do ponownego ataku. — Straty jednak były znaczne i podpułkownik Bogusławski, przekonawszy się o daremności wysiłków, zaczynał ściągać swój batalion. W tym samym czasie z pobliskich zarośli zaczęły wychodzić pierwsze szeregi grenadyerów. Blumer zatrzymał swoją kolumnę u stóp samego szańca i pod morderczym ogniem piechurów austryackich jął spokojnie formować ją do ataku. Warknęły bębny. Sami dobosze nie dostrzegli, że z ich szeregu ubył jeden towarzysz — Markowski. Zanim jeszcze sformowała się kolumna do ataku, mały dobosz nieznacznie opuścił swe miejsce. Biegnąc chyłkiem, w grubej ciemności, okrążył pospiesznie wydłużone przedramię szańca. Zabiegł od prawej strony okopu. Tu, nie spostrzeżony przez nikogo, przebył rów, przesadził zewnętrzną palisadę i pospiesznie zaczął się wdrapywać po pochyłości szańca. W zdyszanej jego piersi serce dwunastoletnie waliło młotem. Dziecięcą twarz palił rumieniec szczytnego zapału. Wskoczył na parapet, bystrze obejrzał tę część szańca, zupełnie ogołoconą z obrońców. — Oparł się mocno na nogach i podniósłszy obie ręce, uzbrojone w pałeczki, ze wszystkich sił uderzył w bęben pobudkę do ataku.

Przez chwilę gwałtowny łoskot bębna był jedynym głosem, który wypełniał pustkę tego zakątka. Wnet jednak dało się słyszeć przyspieszone dudnienie stóp nadbiegającego oddziału. Z cieniów nocy wynurzył się szereg pochylonych kasków, a przed nimi zamigotała ostra linia chłodnych, połyskliwych bagnetów. Ławica piechurów austryackich wali się, jak bór, wynurzony z ciemności. Coraz bliżej, bliżej.

Dobosz Markowski, nie zdejmując z tej błyskawicy stali, na wprost jego piersi skierowanej, szeroko rozwartych, dziecięcych, nieustraszonych źrenic, ze wszystkich sił wybijał na bębnie pobudkę, pełną alarmu...

W tej samej chwili grenadyerzy Blumera z furyą przypuścili do szańca atak od strony przedpiersia. Załoga, rozdzielona teraz na dwie strony, nie była zdolna odeprzeć natarcia z powodzeniem po przedniem. Wnet grenadyerzy, wsparci rezerwą woltyżerów, znaleźli się u parapetu szańca. Wówczas wywarł się na nich morderczy, rotowy ogień ukrytych w głębi okopu obrońców. Grenadyerzy, zdziesiątkowani tą salwą, zmieszali się i zachwiali na moment. Ale wnet ich otrzeźwił i zagrzał donośny głos szefa, który z gołą szpadą w ręku rzucił się naprzód, wołając:

— Za mną wiara! Broń do ataku!

Ławica zdobywców, nastawiwszy bagnety, runęła z góry w głąb okopu, wśród gradu kul, świszczących im koło uszu.

Wówczas grenadyer Jabłoński uznał, że czas zażyć fortelu. Uważając, że kule »strychują« głównie górą, przypadł do ziemi i sam na kształt kuli zaczął toczyć się szybko po wewnętrznej pochyłości szańca, wyprzedzając zwarty szereg swoich towarzyszów. — Naraz, w pewnej chwili, jęknął i rzucił się, jak szczupak, wyjęty z wody. Otrzymał postrzał w plecy. Zbłąkana kula uniemożliwiła wykonanie oryginalnego fortelu. Stary grenadyer dźwignął się na ramieniu i nie tracąc fantazyi, zawołał do nadbiegających kamratów:

— Rozumiałem, iż za ten czyn krzyż dostanę, a tu widzę, że sam dostałem kulą w krzyż.

Zaciekła walka w okopie trwała niedługo. Świt majowego poranku zastał Sokolnickiego zwycięzcą w zdobytym szańcu. Pułkownik Czerwinek, czterdziestu oficerów, dwa tysiące żołnierzy i trzy armaty uwieńczyły zwycięztwo.

Sokolnicki kazał natychmiast obrócić działa i zaczął bić z nich w niedokończony przez Austryaków most na wiśle.

Otrzymawszy wiadomość o zdobyciu szańca oraz zniszczeniu przepraw, z głównej kwatery przybył sam książę Poniatowski. Dziękując Sokolnickiemu, winszował zdumiewającego zwycięztwa. Zaczem kazał przedstawić oficerów i żołnierzy, którzy zasłużyli na odznakę honorową.

Szeregi wyciągnęły się przed naczelnym wodzem w dwie linie. Nastał moment uroczystej ciszy. Książę przemówił parę słów gorących na cześć i wieczną chwałę walecznych. Pierwsi otrzymali odznakę honorową z rąk księcia wodza Blumer i Bogusławski, obaj okryci ranami. Gdy przyszła kolej na szeregowców, Sokolnicki wywołał na początek:

— Dobosz Markowski!

Przed front wystąpiła szczupła postać dwunastoletniego dobosza. Pacholęca pierś pod krępującymi powijakami bandaży podnosiła się żywem wzruszeniem. Na licach płonęły rumieńce. Wyprężył się i jakby zastygł w tej postawie, utkwiwszy jasne, jakby olśnione dziecięce źrenice w twarzy wodza.

Poniatowski zbliżył się i położył dłoń na ramieniu małego dobosza. Na moment śliczne rycerskie rysy twarzy książęcej drgnęły, jakby w przelotnem pół-zdumieniu. Ze szczególną uwagą spojrzał w mieniącą się twarz pacholęcia. W tej samej chwili ściemniały, jakby przesłonione mgłą myśli, nie dających się wysłowić.

Nachylił się i własnoręcznie, w obliczu sztabu i nieruchomych szeregów wojska, przypiął do pacholęcej piersi dobosza srebrny krzyż wojskowej zasługi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gawędy o Różnych Sprawach.

Lekarstwo na drożyznę.

Wszyscy u nas żalą się na drożyznę. Gospodarze na wsi żalą się na podrożenie służby i robotnika, na podrożenie paszy dla bydła i koni, na podrożenie narzędzi rolniczych, nasion do siania, nawozów sztucznych, przyodziewy, drzewa budulcowego, światła, opału, ziemi; rzemieślnicy, fabrykanci i przemysłowcy żalą się na podrożenie materyału; urzędnicy, nauczyciele, księża, adwokaci na podrożenie artykułów spożywczych, sukni, mieszkań i t. p. koniecznych środków do życia. — Każdy wzdycha pod ciężarem drożyzny.

Aby jej zapobiedz, różni różne stawiają projekty. Jedni chcą otwierać wszystkie granice dla dowozu obcego artykułów spożywczych. Domagają się otwarcia granic dla dowozu bydła rumuńskiego, dla mięsa argentyńskiego, drobiu i nabiału rosyjskiego itd. Drudzy domagają się opieki dla hodowli bydła i trzody chlewnej, wydatnej pomocy dla rolników. Inni wreszcie żądają awansu i poprawy pensyi. Słowem wszyscy chcą zapobiegać drożyźnie za pomocą środków politycznych, przez pomoc państwową. — Wszyscy bowiem są zdania, że rząd spowodował drożyznę, więc rząd niech ją usunie.

Że rząd w sprawie drożyźnianej trochę zawinił, nie ulega najmniejszej wątpliwości, ale czy rząd wywołał drożyznę w państwie, to bardzo wielkie pytanie. Trzeba sobie uprzytomnić, że drożyzna jest nietylko u nas, w Austryi, ale istnieje w całej Europie, a nawet zajrzała już i do Ameryki, która dotąd była spichrzem i kasą Europy. We Francyi były niedawno rozruchy drożyźniane, a z Ameryki już nie płyną do nas tak obficie dolary, jak płynęły przed laty. Nawet Niemcy i Anglia, kraje najlepiej pod względem ekonomicznym zagospodarowane, zaczynają walczyć z drożyzną, która coraz szersze zatacza kręgi. Że ogólna drożyzna i do nas zawitała, rząd tu niewiele zawinił, zawinił chyba tylko tyle, że nie potrafił jej przewidzieć i poczynić pewnych kroków zapobiegawczych, ażeby mieszkańcom nie dała się tak bardzo we znaki. Ale któż wogóle myślał o tem w Europie i u nas, że się stosunki ekonomiczne tak nagle zmienią że nas tak niespodziewanie zaskoczy drożyzna! Nie myśleliśmy sami, nie myślał i rząd.

Na dzisiejszą drożyznę u nas w kraju i gdzieindziej złożyło się bardzo wiele czynników. Wywołały ją, podobnie jak i gdzieindziej w Europie, klęski elementarne: powodzie i posuchy, nieurodzaje, zaraza na bydło, najrozmaitsze strajki; wojny: rosyjsko-japońska, angielsko burska; powstania: w Meksyku, w Afryce w koloniach niemieckich, w Persyi, w Chinach, w Albanii, wojna włosko turecka, aneksya Bośni i Hercogowiny, a wskutek tego ciągłe zbrojenia się państw całego świata, wzrastanie długów państwowych. Równolegle ze zbrojeniami państw rosną ich »potrzeby« ekonomiczno-oświatowe: budowy dróg wodnych i lądowych, budowy zakładów najrozmaitszych itp. Oprócz »potrzeb« państwowych mnożą się najrozmaitsze »potrzeby« krajowe, powiatowe, gminne, rodzinne i osobiste. Aby te »potrzeby« pokryć, trzeba było wszystko podrożyć, tem bardziej, że rozchody przestały być w zgodzie z dochodami. Stąd drożyzna i liczne na nią narzekania zarówno u nas, w Austryi, jak i gdzieindziej.

Dlatego do zwalczania drożyzny nie wystarczy jeden rząd austryacki, ale do walki z drożyzną powinny wystąpić wszystkie rządy światowe, a przynajmniej rządy europejskie i to nietylko same rządy państwowe, ale wszyscy obywatele wszystkich państw europejskich solidarnie.

Przedewszystkiem powinny ustać na świecie wszystkie spory i kłótnie międzypaństwowe i międzynarodowe, wszystkie stany i stronnictwa polityczne w poszczególnych krajach powinny sobie podać rękę do zgody. Wszelkie wojny, spory, walki i procesy niszczą moralne i materyalne siły każdego narodu, powodują zubożenie w kraju, podrożenie środków spożywczych, słowem ogólną drożyznę. Pokój Boży i miłość bliźniego powinny znowu wrócić na ziemię, ugruntowane na zasadach etyki chrześcijańskiej. Wszystkie państwa i narody Europy powinny wrócić do Chrystusa i u stóp Jego krzyża szukać lekarstwa na ogólną drożyznę. Wszystkie rządy państwowe, wstkie stronnictwa polityczne powinny wypisać na czele swoich »programów« politycznych: »Dziesięcioro Bożego przykazania« i »Dwa przykazania miłości bliźniego«.

Dalej wszyscy obywatele państw europejskich, idąc za przykładem swoich rządów, winni zaprzestać wszelkich sporów o urojone »potrzeby« między sobą, by się wzajemnie nie niszczyli. Oprócz przykazań Bożych, ktore powinni głęboko wyryć w sercach swoich, powinni wbić sobie w pamięć: »Siedm grzechów głównych«, »Cztery grzechy o pomstę do nieba wołające« i »Dziewięć grzechów cudzych« i ich się na każdym kroku wystrzegać.

Tak rządy europejskie, jak i obywatele państw ich winny w swoim polityczno-ekonomicznym rozwoju kierować się zasadami etyki chrześcijańskiej, inaczej będą ciągłe walki polityczne i ekonomiczne na świecie, wzajemne sobie wydzieranie, wzajemne okłamywanie się, wzajemne okradanie się, wzajemne podrażanie sobie środków spożywczych. Rolnik podroży mieszczaninowi zboże, mleko, mięso itp. artykuły spożywcze, mieszczanin podroży mu artykuły przemysłowe, fabryczne, poradę prawną, leki i t. p. Urzędnik, nauczyciel, sługa państwowy nie ma co podrożyć ani rolnikowi, ani fabrykantowi, wezwie więc pomocy rządu. Rząd udzieli mu tej pomocy, ale kosztem rolnika i mieszczanina, bo nałoży na nich nowe podatki, albo na ich konto zaciągnie dług państwowy. Robotnik podroży chlebodawcy pracę, chlebodawca podroży mu koszta utrzymania. Stronnictwa, gminy, powiaty, kraje, nie licząc się z dochodami państw, będą wymuszały na niem różne zobowiązania. Rząd, aby tym zobowiązaniom zadość uczynić, obciąży je najrozmaitszemi podatkami i tak wkoło bez końca, drożyzna stopniowo pójdzie w górę i spowoduje katastrofę państwa i całego społeczeństwa, a katastrofę tę przyspieszą niepomyślne konjunktury z innemi państwami i społeczeństwami. Rozpocznie się wzajemne zjadanie się obywateli, stanów, państw i narodów, dopóki nie nastąpi upamiętanie się w zachłanności i powrót do zasad etyki chrześcijańskiej na całej linii, zarówno w górze, jak i na dole, zarówno w życiu politycznem, jak i ekonomicznem.

Jasiek Kolka.

WAWEL.

Stare, mszyste murzyska, nad wiślaną tonią
Drzemią ukołysane szmerem miejskich gwarów,
Upojone łąk i pól zawiślańskich wonią,
Nastrojone potęgą swego wnętrza czarów.

Z podziemi skalnych zamku, gdzie rzędem trumniska,
Stoją jakby do boju rycerstwa pułk cały,
Wznoszą hymny, królewskie zetlałe kościska,
Hymny wielkiej przeszłości, potęgi i chwały.

A Zygmunt swym doniosłym rozbrzmiewa się tonem,
We cztery strony świata... aż w niebo uderzy...
I drży w posadach Wawel, wstrząsa się wieżyca.

A stary, święty biskup, obudzony dzwonem,
Uchyla trumny wieka i słucha... A z wieży
Wraz z Wisły falami dźwięk bieży, zachwyca...

Edmund Zawiła.

NA ŚNIEŻNYM STEPIE.



Na śnieżnym stepie.

(Opowiadanie parobka).

Przez step bezludny, zasypany śniegiem, mknęliśmy żywo, gdyż mróz był piekący. Konie zmęczone tym szalonym biegiem buchały parą. Ich oddech gorący zaledwie buchnął, już się ścinał w gwiazdy i tworzył koło tej szalonej jazdy.

Pan mój, otulon w ciężkie baranice, drzemał na saniach i marzył coś we śnie... Mnie wiatr północny smagał nagie lice a mróz po uszach szczypał zbyt boleśnie, alem popędzał trójkę mych rumaków naprzód, bo drogi nie było ni znaku.

Wtem z lewej strony mój kasztanek łysy nastroszył swoje piękne długie uszy.

— Cóż tam — szepnąłem — czy jakowe biesy straszą mi zwierzę?

Ale żywej duszy nie było nigdzie i, choć wypatrz ślepie, nic, tylko wicher szumi po tym stepie.

Lecz znowu kasztan skoczył niespokojnie... Ja, wytężywszy słuch mój należycie, słuchałem długo, lecz nic... Oj, nie!... po chwili jakieś długie, grożne wycie przerwało ciszę, co stepem owłada...

Poznałem głos ów: szła wilków gromada.

Jednem szarpnięciem obudziłem pana i rzekłem, jaki gość nam w stepie grozi.

— A to ci hycle, o Matko kochana! — rzekł pan. — Nie dosyć, że wiatr człeka mrozi, jeszcze napada ta zgraja obmierzła! Lecz cię przywitam — szeptał — bodajś zczezła!

Mówiąc to, pan mój nabijał dwururkę i w cienie patrzył, widne już na śniegu. Ponieważ droga wypadła pod górkę i konie nieco zwolniły w swym biegu, więc w pacierz mały sześć wilków przypadło i w jeździe naszej na karki nam wsiadło.

Zmierzył się pan mój — huknęły dwa strzały i wycie straszne przeszyło powietrze; po strzałach w śniegu dwa trupy zostały... Już byłem pewny, że pan napad zetrze, gdy jeden z wilków rzucił się na sanie... Truchlałem w strachu, co się teraz stanie!?

A pan tymczasem obrócił dwururę i przez łeb kolbą wilczysko przejechał, że mu do kości przeciął na łbie skórę.

Trzeci więc teraz wilk walki zaniechał, ale trzy inne, podrażnione srodze, pomścić zachciały poległych na drodze.

Pan mój tymczasem dubeltówkę nabił, a przypuściwszy wilki na dwa kroki, dwoma strzałami dwa na miejscu zabił; tylko ślad widniał na śniegu posoki i dwa zostały ciała wśród zamieci poległych, został tylko już wilk trzeci...

Lecz ten, nie pomny na śmierć towarzyszy, pędzi za nami, to zachodzi z boku i choć ze zmęczenia ledwo że już dyszy, ściga bez przerwy. Miał go pan na oku, lecz choć dwukrotnie z dwururki wypalił, chybił a wilka wcale z nóg nie zwalił.

Wreszcie znienacka skoczył wilk na sanie i wpił kły ostre w ramię mego pana... Krzyknąłem z trwogi:

— O panie! mój panie! — i jakaś dzika złość niepohamowana wtył mnie rzuciła... i wilcze pazury w garść uchwyciłem — wściekły i ponury...

I z taką złością skręciłem mu łapy, że wilk zaskomlał z boleści i trwogi... Łamałem kości, jak jakie ochłapy, póki nie skończył... Wtedy mój pan drogi zepchnął go ze sań i opatrzył ramię, na którem po dziś ma widoczne znamię.

Kiedyśmy uszli tej dzikiej napaści, ujął mnie pan mój w obydwa ramiona, (choć miałem wilczą krew na mojej garści), tuląc jak dziecię do swojego łona. Od owej chwili, jak bracia rodzeni, żyliśmy owym uściskiem złączeni.

Antoni St. Bassara.

Bez Boga.

Na głównej handlowej ulicy budują olbrzymi, kilkopiętrowy dom. Przedsiębiorstwo zgodziło się na dosyć wygórowane ceny, to też kilkudziesięciu robotników pracuje z gorączkowym pośpiechem. — Wszyscy są wesołego usposobienia, tylko pracujący na narożniku głównego frontu, Jan Skorupka, milczy. Cierpienie wyryło na twarzy jego znamiona. Bolesny zaiste cios spotkał biedaka. Bóg zabrał mu ukochaną Anulkę żonę i matkę siedmiorga drobnych dziatek, któremi nie ma się kto opiekować. Chorowita siostra, która przy dzieciach pozostała, nie może sobie dać rady, bo słaba, a macochy nie chciałby dzieciom dać. To też nic dziwnego, że od czasu do czasu wyrwie się z jego piersi westchnienie, jak krzyk rozpaczy z otchłani boleści.

— Boże! Matko Najświętsza! dopomóżcie mi!

Nagle Skorupka stracił równowagę i pochylił się wtył. Na szczęście na czas zdołał uchwycić się wystającego z muru drąga i wygramolić się na rusztowanie.

— No! macie szczęście, Skorupka, bo mało brakło a byłoby po was — ozwał się obecny właśnie i dozorujący zastępca budowniczego Wiklicki.

— Bóg nie dopuścił nieszczęścia, panie Wiklicki — odrzekł Skorupka.

— Wy, stary ośle, widziałżeście kiedy Pana Boga, Matkę Boską lub jakiego świętego? Nie wiedziałem, że wy w takie głupstwa wierzycie — drwił Wiklicki.

— Tak, panie Wiklicki, widuję dosyć często Boga, ukrytego pod postacią chleba.

— Ja chciałbym ujrzeć kiedy Pana Boga lub jaki cud — zawołał ze śmiechem Marecki, gorliwy członek związku socyalnego — ale Skorupce niech pan da spokój, panie Wiklicki. Skorupka jak skorupka, czem za młodu nawre, tem na starość trąci.

— Nie zawsze — rzekł Wiklicki — ja z młodu także w podobne głupstwa wierzyłem, ale przyszedłszy do rozumu, porzuciłem je i stałem się rozumnym człowiekiem. Dotąd obszedłem się bez Boga i do śmierci się obejdę.

Wtem ozwał się dzwonek, poprzedzający księdza idącego z wijatykiem do chorego. Wiklicki, zobaczywszy księdza, zawołał:

— Widzisz go, jak wali gdzieś domęczyć konającego.

Robotnicy niektórzy, wierzący katolicy, usłyszawszy głos dzwonka, uklękli na kolana, korząc się przed Panem swoim i Stworzycielem.

— A to co znaczy? — zawołał Wiklicki, zwróciwszy się do nich — idziecie wy, głupie osły, do roboty!

Chciał rzucić jakieś nowe bluźnierstwo, ale Bóg nie dopuścił do tego, bo w tej chwili załamał się kozioł pod rusztowaniem z kilku setkami cegieł a Wiklicki runął z olbrzymiej wysokości na ziemię, roztrzaskując głowę i obryzgując krwią i mózgiem bruk uliczny. Okrzyk zgrozy wyrwał się z ust patrzących.

— Oto on — rzekł Skorupka, gdy zgromadzili się koło trupa, zasypanego cegłą i deskami — oto on powiedział, że bez Boga do śmierci się obejdzie, teraz ujrzy pierwszy raz Boga, ale sędzią sprawiedliwym.

— A ja ujrzałem cud — ozwał się Marecki.

W najbliższą niedzielę Marecki i kilku innych znaleźli się u konfesyonału, żałując za grzechy, do jakich ich dprowadziły nauki socyalistyczne.

Andrzej Wróbel.

„PLUDRAKI".

(Z opowiadań kuma Wojciecha).

Dnia jednego o zachodzie,
Idąc miedzą pośród łanów
I dumając o pogodzie,
Ujrzałem dwóch jakichś „panów".

Szli przedemną w stronę lasku
I coś z sobą gawędzili,
Lecz pomimo zorzy blasku,
Trudno poznać, co zacz byli.

Kuse kurty obu zdobią
I portase „na cholewy",
Co za jedni? co tu robią?
Ciekaw byłem, moiściewy!

Przyspieszyłem zatem kroku,
Lecz ostrożnie, jak wypada,
Chcąc podsłuchać z tyłu z boku,
Co tam jeden z drugim gada.

Słucham, słucham... dziwy! dziwy!
Jakaś dla mnie obca mowa,
Czyż mię zwodzi mój włos siwy?
Nie rozumiem ani słowa!

Ale słucham, jak tam dalej?
I napróżno głowę trudzę,
Ani pojąć, choć oszalej,
Niby nasze, niby cudze...

Lecz wnet mi się rozjaśniło,
Że te obce draby-szpaki,
Co wlazły w mą niwę miłą,
Muszą pono być „pludraki".

Tak, to „pludry"... no i może
Zła chętka ich opętała
Na tę rolę, na to zboże —
I pasya mię porwała!

Lecz czekajta! nazbyt wcześnie
Bies was kusi na me mienie;
Hej! przypomnę ja wam „Wrześnię",
Hej, dam ja wam „wywłaszczenie!"

Hej, wspomnę wam „orły białe"
I strój polski narodowy
I śpiew polski i Drzymałę
I ten zakaz polskiej mowy!

I już dosyć tego miałem,
I, ogarnął mię gniew taki,
Że skoczyłem ku nim cwałem
I krzyknąłem: stać, pludraki!

Dobry Boże!... Czy zgadniecie,
Kogom poznał w owej chwili?...
Toż to Kuba z Maćkiem przecie,
Co ze „Saksów" powrócili...

— „Guten morgen, Adalbercie" *),
Oni do mnie z tym szwargotem, —
Co? jak? „gruntu morgę" chcecie?
Poczekajta — o tem potem!

Aż mi w duszy zaskwierczało,
Skąd te kpiny? skąd ta śmiałość?
Więc jednego z drugim pałą:
Łupu-cupu! za zuchwałość.

„A nie kalaj ojców mowy!
A bądź wierny swej ojczyźnie!
A szanuj swój strój ludowy!"
Łupu-cupu po słabiźnie.

Tak w tym gniewie byłem srogi,
Że w drzazgiby poszła pała,
Ale Kuba z Maćkiem — w nogi!
Aż pod nimi ziemia grzmiała.

Ferdynand Kuraś.

*) Niby: »Dzień dobry, Wojciechu«.

Żyd się w szkło zamienił.

Dawnemi czasy, jak to żydzi byli jeszcze głupimi, żył żyd, który się nazywał Berek Pejsaty. Chował on sobie parobka Wojtka, który miał u niego za poprzednią służbę 300 dukatów.

Trafiło się, że raz jechali do pobliskiego miasteczka na jarmark a żyd wziął właśnie te trzysta dukatów ze sobą. Gdy już byli niedaleko miasteczka, zobaczył żyd kilkadziesiąt sztuk bydła, mówi więc do Wojtka:

— Słuchajno Wojtek, tam pewno żołnierze są, oni nas gotowi obrabować.

Wojtkowi tylko tego trzeba było. Nie mogąc wydobyć pieniędzy od żyda, trzeba było coś obmyśleć, więc mówi:

— Nietylko obrabować, ale jeszcze obić.

— Aj waj! wiesz Wojtek, na pieniądze, schowaj dobrze a mnie zawiąż do wora i powiedz, że wieziesz do miasta szkło.



Wojtek spełnił rozkaz natychmiast i pojechali. Przyjechawszy bliżej, zmienił głos i woła:

— Halt! ktoś ty i gdzie jedziesz?

— To ja, biedny Wojtek, co służę u Berka Pejsatego, który mi winien 300 dukatów — odpowiedział Wojtek swoim głosem. — Jadę do miasta ze szkłem.

Żyd sobie myśli:

— Mądry Wojtek.

— Głupi żyd — cieszy się Wojtek — trzeba go jeszcze przeciągnąć.

— A może ty masz pieniądze? obszukać go! — woła zmienionym głosem.

Wojtek się sprasza tym mniemanym żołnierzom, ale nic nie pomogło, pieniądze znaleźli, jeszcze go obili. Wojtek bowiem zamiast siebie bił biczyskiem w ziemię.

Żyd o mało się w głos nie roześmiał, że się to wszystko na Wojtku skrupiło.

— Za to, że skłamał, potłuc mu szkło — mówią mniemani żołnierze.

Żyd struchlał a Wojtek ściągnął wór na ziemię i zaczął biczyskiem bić w ten wór.

Żyd z początku nic nie mówił, ale jak mu już dobrze dojął, tak zaczął krzyczeć na cały głos.

— Brdzień.... brdzień.... — udając, że się szkło tłucze.

Wojtek, zbiwszy żyda należycie, rzucił go na wóz z siarczystem przekleństwem, wziąwszy sobie 300 dukatów za służbę. Żyda wypuścił a sam podziękował za służbę i odszedł.

Cuprys Stefan.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ X.

Wynalazek inżyniera. — Wycieczka na górę. — Las. — Muflony. — Pierwsza płaszczyzna. — Noc. — Wierzchołek.

Wpatrzeni w dym wznoszący się ponad skały, szli szybko ku Kominom, pełni radości. Najżywiej objawiał uciechę Penkroff, który, niosąc na plecach upolowaną kabię, co chwila wznosił ramiona i wydawał okrzyki na cześć Cyrusa Smitha.

W kilka chwil później trzej myśliwi stanęli przy jasno płonącem ognisku, przy którem zastali Cyrusa Smitha i reportera. Penkroff spoglądał w milczeniu, trzymając kabię w ręku, nie posiadając się ze zdumienia i radości.

— Tak, tak, to ogień, prawdziwy ogień, upieczemy przy nim tę wyśmienitą zwierzynę i spożyjemy ją ze smakiem. Ale któż go zapalił?

— Słońce!

— Więc pan miałeś przy sobie szkło palące? — zapytał odrazu Harbert Cyrusa Smitha.

— Nie, moje dziecię — odpowiedział inżynier — ale urządziłem je sobie.

Mówiąc to, pokazał poprostu dwa szkiełka od zegarków, które napełnił wodą i przyłożywszy do siebie, skleił ich brzegi gliną; tym sposobem urządził wyborne szkło palące i za jego pomocą zapalił wysuszony mech,ześrodkowawszy na niego promienie słońca.

Marynarz obejrzał przyrząd, potem spojrzał na inżyniera, nie wymówiwszy ani słowa. Jakże wymowne było to jego spojrzenie! Znać było, że dla niego Cyrus Smith jest czemś więcej niż człowiekiem.

Następnie Nab i Penkroff wypatroszyli kabię i, wsadziwszy ją na rożen, upiekli jak zwyczajne prosię.



Wpatrzeni w dym szli szybko ku Kominom.

Kominy mogły znów służyć za mieszkanie, gdyż suty ogień ogrzewał przerzynające je korytarze, nadto porobiono w nich przepierzenia z piasku i kamieni, co dowodziło, że inżynier i reporter nie zmarnowali także dnia napróżno. Cyrus Smith już prawie zupełnie odzyskał siły, i wypróbował to zaraz, wchodząc na pochyłą płaszczyznę, na znaczną wysokość. Gdy tam stanął, oko jego, przywykłe do oceniania wysokości i odległości, zatrzymało się długo na stożkowatym wierzchołku góry, na który chciał wejść nazajutrz.

Wieczerza była wyśmienita. Uznano, że mięso kabii jest wyborne, a orzeszki z szyszek sosny smakowały także wszystkim; głośno wyrażali swe zadowolenie z wyjatkiem inżyniera, układającego plany na dzień następny. Po wieczerzy dołożono drzewa na ognisko i mieszkańcy Kominów, nie wyłączając wiernego Topa, zasnęli głęboko. Żaden wypadek nie zamącił spokoju tej nocy i nazajutrz, 29 marca, obudzili się rześwi i gotowi przedsięwziąć wycieczkę w celu przekonania się, jakie mogą mieć nadal nadzieje.

Przygotowano wszystko na drogę; resztki kabii mogły wystarczyć im jeszcze na dwadzieścia cztery godziny, a zresztą spodziewali się, że w drodze uda im się zaopatrzyć w żywność. Szkiełka wstawiono napowrót w zegarki inżyniera i reportera, Penkroff spalił trochę bielizny na próchno, mające zastąpić hubkę, krzemień zaś łatwo będzie można znaleźć.

O wpół do ósmej rano wyruszyli z Kominów z grubymi kijami w ręku. Grunt dość równy, z początku bagnisty, następnie suchy i piaszczysty, podnosił się teraz lekko, począwszy od wybrzeża wgłąb lądu. Gdzieniegdzie dostrzegali wśród gęstwiny uciekające przed nimi zwierzęta; Top biegł za nimi, lecz pan odwoływał go natychmiast. Inżynier, według swego zwyczaju, dążył prosto do celu, i można było zapewnić, że głównym przedmiotem jego uwagi była góra, na której szczyt wyjść zamierzał.

O godzinie dziesiątej zatrzymano się trochę dla wypoczynku. Za lasem można już było poznać charakter okolicy.

— Jesteśmy na gruncie wulkanicznym — powiedział inżynier i wraz z towarzyszami zaczął wstępować na pochyły grzbiet góry.

Wszędzie na drodze spotykali ślady działania sił plutonicznych, liczne wypukłości gruntu, odłamy skał, bazaltu, pomeksu. Też same drzewa iglaste, które w wąwozach tworzyły gąszcz nieprzejrzany, tu wyrastały miejscami tylko.

Zaledwie uszli kilkaset kroków, Harbert pokazał swym towarzyszom świeże ślady jakichś wielkich zwierząt; nie mogli jednak z nich poznać, do jakiego należały rodzaju.

— Zdaje mi się — rzekł Penkroff — że te zwierzęta nie łatwo ustąpią na swego państwa.

— Bardzo to być może — odpowiedział reporter, który już w Indyach polował na tygrysy, a w Afryce na lwy, ale w takim razie postaramy się o to, aby się pozbyć tak niemiłego sąsiedztwa; teraz zaś miejmy się na baczności.

Wycieczka to była cieżka, nużąca; musieli często nakładać drogi, aby wyminąć niepodobne do przebycia miejsca. W południe zatrzymali się dla spożycia posiłku pod cieniem sosen, rosnących nad strumieniem, który z szumem toczył się w dolinę. Przebyli zaledwie pół drogi, nie mogli więc mieć nadziei, aby stanęli na niej przed zmrokiem. Z wysokości, na której znajdowali się teraz, oczy ich mogły objąć ogromny przestwór morza, lecz ze wszystkich zresztą stron szczyty przyległych gór zasłaniały widok; nie można było przeto rozwiązać jeszcze tak ważnego dla nich pytania, czy się znajdują na wyspie czy na lądzie stałym.

O pierwszej godzinie wyruszyli dalej. Wyszedłszy z lasku musieli iść pod górę przynajmniej sto stóp po nadzwyczaj stromej pochyłości, podsadzając

się wzajemnie. Nakładając nieraz znacznie drogi, aby znaleźć mniej niebezpieczne miejsca, pięli się wciąż w górę po nader przykrej pochyłości.

W miarę, jak zbliżali się do płaszczyzny, stanowiącej szczyt niższego stożka, coraz to większe musieli przezwyciężać trudności. Około czwartej minęli już pas, na którym rosły jeszcze drzewa; obecnie spotykali już tylko czasami karłowate i pokrzywione sosny, które jednak musiały być bardzo odporne, skoro mogły oprzeć się wiatrom, wiejącym na tak znacznej wysokości. Szczęściem dla naszych podróżnych czas był piękny i spokojny, gdyż wiatr, wiejący na wysokości trzech tysięcy stóp nad powierzchnią morza, byłby dla nich bardzo dokuczliwym. Niebo było pogodne i powietrze przejrzyste; słońca już nie widzieli, gdyż skryło się za wyższym stożkiem, który zasłaniał widnokrąg od zachodu.

Już tylko pięćset stóp oddzielało podróżnych od płaszczyzny, na której chcieli noc przepędzić, lecz te pięćset stóp zamieniło się w dwa tysiące z powodu konieczności ciągłego zbaczania to w tę to w ową stronę. Miejscami pochyłość góry była tak stroma, że ześlizgiwali się z niej, jeśli który postawił nogę na skruszałej już pod wpływem powietrza lawie. Noc prawie zapadła, gdy Cyrus wraz ze swymi towarzyszami stanął wreszcie na płaszczyźnie, stanowiącej szczyt pierwszego stożka.

Zajęto się zaraz wyszukaniem miejsca odpowiedniego na spoczynek. Wyższy stożek wznosił się na podstawie ze skał, wśród których łatwo schronienie znaleźli. Trudno im było o drzewo; można jednak było rozniecić ogień z mchu i suchych gałęzi krzaków, rosnących tu miejscami. Kiedy marynarz układał kamienie, aby na nich rozłożyć ognisko, Nab i Harbert poszli po mech i gałęzie i wkrótce przynieśli dostateczny ich zapas na całą noc. Skrzesali ognia, próchno zatliło się, Nab dmuchał na nie i jasny płomień objął mech i gałęzie. Ogień potrzebny im był tylko dla zabezpieczenia się od chłodu nocnego, gdyż resztki kabii i orzeszki pinii stanowiły ich wieczerzę. Bażanta zostawiono na dzień następny.

Po wieczerzy Cyrus Smith postanowił, pomimo zmroku, przekonać się, czy wyższy stożek będzie można obejść około jego podstawy na wypadek, gdyby wstęp na jego szczyt okazał się niepodobnym. Gdy Penkroff i Nab urządzili posłanie, a Spillet spisywał wypadki dnia ubiegłego, inżynier poszedł zwiedzić płaszczyznę wraz z Harbertem, który, pomimo zmęczenia, towarzyszył mu chętnie.

Noc była cicha i jasna, łatwo więc mogli rozróżnić otaczające ich przedmioty. Miejscami płaszczyzna była tak szeroka i równa, że z łatwością posuwali się naprzód, idąc obok siebie; gdzieindziej znowu odłamy skał tak ją zacieśniały, że z trudnością przejść było można. Nakoniec, po dwudziestu minutach drogi, Cyrus Smith i Harbert musieli się zatrzymać, gdyż boki stożków połączyły się z sobą i znikła płaszczyzna, oddzielająca je od siebie, a pochyłość góry była tak stroma, że nie można było się na niej utrzymać.

Już mieli zawrócić, gdy spostrzegli, że będą mogli wejść na wierzchołek wyższego stożka, łatwiej nawet niż na pierwszy. Przed nimi, na stoku góry, znajdowała się głęboka rozpadlina, rodzaj czeluści, przez który wylewała się lawa płynna w czasie, gdy wulkan był jeszcze czynny. Stwardniała lawa i zeskorupiała piana utworzyły rodzaj dość wygodnych schodów, ułatwiających wejście na sam wierzchołek. Cyrus Smith poznał to za pierwszym rzutem oka i pomimo wzrastającej ciemności, bez wahania zapuścił się z Harbertem w tę rozpadlinę. Szczyt stożka wznosił się na tysiąc stóp nad ich głowami.



...pięli się wciąż w górę po przykrej pochyłości.

Co do głównego wulkanu, nie można było wątpić, że już wygasł zupełnie; najlżejszy nawet dymek nie wydobywał się z niego, żaden huk, żaden szmer nie dochodził z głębin tej bezdennej studni, dosięgającej, być może, aż do wnętrza ziemi. W powietrzu nie dawał się uczuwać nawet najlżejszy zapach siarki. Nie był to wulkan uśpiony tylko, ale zupełnie zamarły.

W miarę, jak Cyrus i Harbert postępowali w górę, otwór krateru zdawał się rozszerzać nad ich głowami i można powiedzieć, że za każdym krokiem nowe gwiazdy ukazywały się ich oczom.

O godzinie szóstej inżynier i Harbert stanęli wreszcie na szczycie stożka. Było już tak ciemno, że nie można było objąć okiem dwumilowej przestrzeni i niepodobna było przekonać się, czy morze otaczało dokoła tę nieznaną ziemię, czy też od zachodu łączyła się z jakimś lądem oceanu Spokojnego. Atoli wkrótce w jednym punkcie widnokręgu ukazało się nagle mdłe światełko, zsuwające się powoli w miarę, jak ciemna chmura podnosiła się. Był to sierp księżyca na nowiu, już zachodzącego, lecz światło jego oświetliło o tyle widnokrąg w tej stronie, że inżynier widział przez chwilę księżyc, odbijający się w przeźroczu wody. Pochwycił rękę Harberta i rzekł poważnym głosem:

— Wyspa!

W tej samej chwili księżyc ukrył się zupełnie za chmury.

Ku zachodowi ciemna smuga wyraźnie zarysowana na widnokręgu powiększyła jeszcze panujące jak oko sięgnie ciemności i najbystrzejszy wzrok ludzki nie zdołałby dostrzedz niczego w tym kierunku.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jagem był przy wojsku, to pan frajter zawse mi padali:

— Ty Maciek mas łeb, jak choroba, ze mozna by nim kamienie tłuc na gościńcu.

To tez nic dziwnego, ze ludzie poznali się na moji mondrości i co trocha o radę pytaja. Z końcem lutego mają być wybory do Rady gminnej w Zatracony Wsi, latego juz teraz rozmaite gospodarze do mnie przychodzą, abym jem poradził, jak to zostać radnem.

W insy wsi toby się ta o to ani nie pytali, bo gdzieindzi wiedzą, ze sami gospodarze znają się na swoich sąsiadach i co najmorowsych do Rady wezmą, ale w Zatracony Wsi to tak idzie wszyćko sacher-macher. Przed sześciu laty, jak wybirali wójta, to jegomość i inse porządne ludzie byli pewni, ze wójtem zostaną Kacper Majda, ale jak to spenetrował Mosiek, tak pada do chłopów:

— Cie wy! jakieściewy głupie! Poco wam taki wójt, co ani do karcmy nie przyjdzie, ani gorzołki nie pije? Jak on będzie rządził, jak on se z porządnemi gospodarzami przy kielisku nie poradzi?

I Kacper nie zostali wójtem, ino Walanty, co bez całe sześć lat prawie z karcmy nie wyłaził.

A ze to przy wójcie, który trunkowość lubi i radny casem coś chlapnie, latego w Zatracony Wsi kuzden chciałby być radnem.

Wkiejsik przychodzi do mnie Bartek Wrona i po zagadywaniu o tem i o owem pada:

— Wis, Maciek, tyś ta bywały w świecie, boś i z jegomością nieraz gadał, a przy wojsku siarzyś buty pucował, tobyś ty mi moze poradził, jakby to ostać radnem?

Poźrołem na Bartka i śmich mnie wzion śniego. Chłop co prawda jak i inse, łeb ma, ale we łbie nic a ino na łbie trochę kudłów.

— Ee — padam — wyście, Bartłomieju, ani na policaja gminnego nie zdatny, nie dopiro na radnego.

— Cemu? — pyta Bartek.

— Temu, zebyście nie poradzili nijak radzić, bo na to głowy ni macie.

— A przecie w Radzie nasy są jesce głupse, a są — pada Bartek.

— To tez latego, ze są jesce głupse, w gminie nima zadnego porządku. W insych gminach to wsyćko jaz radość, a w Zatracony Wsi wszyćko źle.

— Ale mnie się nie o to rozchodzi, zeby było we wsi dobrze, ino zeby ja był radnem.

— No to pocałujcie psa w nos — ja na to i posedem do chałpy.

Jakby to tak byle fto mógł być radnem, toby mogła niem zostać i Kaśka Myrdalonka (świeć Panie nad jej dusą, choć jesce nie umarła, ino się na mnie pogniwała, bo nic nie pise). W który wsi wybirają radnych, a nie patrzą kogo, ino tak kum na kuma głosuje, to Rada nigdy dobra być nie moze i we wsi porządku nie będzie.

Bez to, zeby się mnie nikt więcy nie pytał, to tu powiem kogo trza na radnych wybirać. Radny musi być człek mądry, uściwy i porządny, bo jaka Rada taki wójt, jaki wójt, taka gmina,

Z TYGODNIA.

Zatrzymanie świąt w Galicyi. Arcybiskup lwowski, ks. Bilczewski, ogłasza w ostatniej kurendzie, z powołaniem się na dekret Ojca św. z lipca r. 1911 co do zniesienia niektórych świąt, że prośbę biskupów polskich w Galicyi, co do zatrzymania wszystkich świąt, Ojciec św. uwzględnił, a mianowicie, dekretem z dnia 1 stycznia 1912 zezwolił, aby w naszych dyecezyach można było, aż do wydania nowego kodeksu kościelnego, obchodzić wszystkie dotychczasowe święta, to znaczy, że każdy katolik obowiązany jest pod grzechem do wstrzymania się w te dnie od robót służebnych i do wysłuchania Mszy św.

† **Ks. Leon Pastor,** proboszcz w Leżajsku, długoletni poseł do parlamentu (po raz ostatni posłował w ostatniej kadencyi z okręgu Jasło Gorlice-Grybów-Biecz), były poseł sejmowy z miast Jasło-Gorlice, umarł dnia 4 lutego w Leżajsku. Ś. p. ks. Pastor był wybitną postacią świata parlamentarnego. Od roku 1905 stanął w Kole na czele t. zw. centrum katolickiego. Przy ostatnich wyborach kandydował w okręgu Mielec-Tarnobrzeg-Leżajsk, ale bez powodzenia. Zrażony tem złożył mandat sejmowy i więcej udziału w życiu politycznem nie brał. Ś. p. ks. Pastor uprawiał zawsze politykę narodową i świecił przykładem gorliwości poselskiej.

Nowe stronnictwo ludowe. Dnia 11 lutego odbędzie się w Tarnowie zjazd lewicy ludowej, to jest tej części stronnictwa ludowego, która nie godzi się z polityką Zarządu głównego tego stronnictwa, celem utworzenia własnej organizacyi politycznej na podstawie programu polskiego stronnictwa ludowego.

Rusini a reforma wyborcza do Sejmu Na ostatniem posiedzeniu Sejmu dnia 3 lutego, znowu, gdy przystąpiono do porządku dziennego, posłowie ruscy gwizdali, dzwonili, uderzali w pulty, chcąc obrady udaremnić. Sejm jednakże, mimo tej muzyki, załatwiał sprawy, będące na porządku dziennym. Rokowania z Rusinami co do reformy wyborczej sejmowej prowadzą się, lecz opornie. Polacy stoją na stanowisku pojednawczem; p. namiestnik pośredniczy w rokowaniach. Projekt pośredniczący p. namiestnika ofiaruje Rusinom 26 procent ogółu członków Sejmu t. j. ten sam, jaki mają w parlamencie wiedeńskim.

Z Portugalii. Nie bardzo dobrze się dzieje w młodej rzeczypospolitej w Portugalii, która po wypędzeniu króla i ustanowieniu nowej formy rządu, rozpoczęła od tego, że zaczęła prześladować religię katolicką. Rewolucyoniści obiecywali, że skoro ustaną rządy królewskie, nastąpi ogólna taniość artykułów żywności i wszelka swoboda dla wszystkich. — Tymczasem drożyzna się zwiększyła, wyzysk biedaków się wzmógł, nie dziw więc, że powstała w Lizbonie, stołecznem mieście Portugalii, olbrzymia zmowa robotników. Zmowie towarzyszyły groźne rozruchy. Wobec tego rząd ogłosił stan oblężenia. W licznych punktach miasta ustawiono silne oddziały wojska i policyi. Kilka tysięcy robotników usiłowało urządzić pochód przez miasto, lecz policya przeszkodziła temu, przyczem dokonała licznych aresztowań. Gazownie i centrale elektryczne, gdzie wytwarza się światło, strzeżone są przez liczne oddziały wojska. Gazety lizbońskie przestały wychodzić, gdyż drukarze przyłączyli się do strajku powszechnego. Wojsko wszędzie stoi w pogotowiu, aby stłumić możliwe zaburzenia.

KRONIKA.

(J. K.) **Otwarcie czytelni TSL.** Dnia 27 stycznia odbyła się w Cykowie koło Oleska uroczystość otwarcia czytelni TSL. Po przemówieniu tamtejszego nauczyciela nastąpiły śpiewy patryotyczne i kolędy, zabawy dziatwy szkolnej, opowiadania bajek treści moralnej; następnie wypożyczono 46 książek i rozdano przeszło 60 obrazów, przedstawiających życie pierwszego króla polskiego Mieszka I. Przy pomocy więc Bożej i przy staraniach czynnej i zasłużonej obywatelki p. Ujejskiej, jakoteż przy dobrej woli tamtejszego nauczyciela, dzieło powyższe dokonane zostało. Młodzież i starsi, zamiast gnuśnieć w domu i może nieraz ciężko obrażać Boga, mają teraz miejsce, gdzie mogą spędzić mile czas wolny na pożytek Boga i drogiej ojczyzny.

(J. K.) **Zgon żołnierza polskiego.** Przed kilkoma dniami zmarł w Brodach hr. Stefan Rzewuski, uczestnik w walce o niepodległość naszej biednej ojczyzny w roku 1863. Zmarły posiadał w Rosyi ogromne dobra, ale za to, że śmiał być Polakiem i odważył się pójść w szeregi powstańcze, by walczyć mężnie przeciw carowi, dobrotliwy i opiekuńczy rząd moskiewski zabrał mu majątek i wygnał z kraju ojczystego na ciężką tułaczkę. I tułał się po obcych krainach, tułał się długo po Galicyi, aż osiadł w Brodach.

(K. K.) **Przedstawienie.** Staraniem Towarz. Oświaty ludowej odbyły się we Wiśniowy w piątek w święto Matki B. Gromnicznej i w niedzielę 4 lutego przedstawienia. Występowali miejscowi chłopi w sali szkolnej. Pomimo, iż śnieg sypał jak z worka zgromadziło się trochę ludzi. Odegrano bardzo pięknie sztukę p. t. »Kominiarz i młynarz«. Po zapadnięciu kurtyny publiczność dziękowała za piękne odegranie oklaskami.

(K. K.) **Polowanie.** W jednym z ostatnich dni w styczniu b. r. urządziło pewne towarzystwo w lasach Pstrągówki i przysiółka Berdechów polowanie. Było 9 strzelców, zwołano również ze wsi 27 chłopów i chłopaków jako naganiaczy. Upolowali tylko 4 czy 5 zajęcy, chociaż ich jest teraz bardzo dużo. Z powodu wielkiego mrozu kilku naganiaczy odmroziło nogi. Nie udało się więc polowanie.

(J. S.) **Wielkie mrozy.** Zima roku bieżącego, o ile na początku była łagodna, to teraz zato daje się we znaki w naszej okolicy, tj. w powiecie tarnobrzeskim. Już od dnia 6 stycznia panują tu ostre mrozy, tak, że ludziom wiele ziemniaków poprzemarzało; raz przemarzły w jesieni w polu, drugi raz teraz w kopcach. Wielu też przemroziło uszy i nogi.

(J. K.) **Dziwna wieś.** Zaiste wieś bardzo dziwna. Jest nią Chatów w pewiecie złoczowskim. Prawie trzecia część ludności tej wsi nie jest prawidłowo rozwinięta z tego powodu, że mieszkańcy jej mają u rąk lub też u nóg po sześć palców. Jaka tego przyczyna, trudno odgadnąć. Natura ma także swoje wybryki. Pewien gospodarz, nazwiskiem Rawluk, ma dziecko, które posiada 24 palców t. zn. w każdej ręce i nodze po 6 palców a wszystkie są normalnie rozwinięte. Dla takich ludzi potrzeba zupełnie innych butów i rękawiczek.

(J. K.) **Szpieg.** Przed kilku dniami aresztowała policya w Brodach rzekomego pomocnika fryzyerskiego, Łuszczenkę, który, przybywszy z Rosyi, kręcił się dłuższy czas po Galicyi. Znaleziono przy nim fotografie fortów w Przemyślu i wiele arkuszy papieru zapisanego atramentem chemicznym, to znaczy takim, którym pisząc nie czynimy żadnych znaków, dopiero po zamaczaniu papieru w kwasie pismo staje się czytelnem. Szpiegostwo to rzecz okrutnie podła i haniebna, człowiek uprawiający ten zawód, za ruble czy też jakiekolwiek inne pieniądze, jest bez czci i honoru, jakoteż i dany naród, który tylko wtedy zwyciężyć potrafi, gdy lisim sposobem wybada najsłabsze strony swego przeciwnika. Wogóle dzisiaj na świecie niema walk szlachetnych, jakie były za czasów wolnej ojczyzny naszej, kiedy zwyciężało męzstwo żołnierza, a nie podstęp.

Pod kołami lokomotywy. Przed pewnym czasem na torze kolejowym w Nowym Sączu, prowadzącym do ogrzewalni, obok jednej ze zwrotnic, spostrzeżono zwłoki człowieka, z odciętą zupełnie głową, leżącą obok. Zwrotnica i szyny zbryzgane były obficie krwią. W zwłokach rozpoznano pomocnika zwrotniczego, Jana Żaka, liczącego lat 41, z Marcinkowiec, który w dniu tym przed południem smarował zwrotnice. Zajęty tą czynnością nie zwrócił uwagi na nadjeżdżającą maszynę i ta odcięła mu głowę od kadłuba. Nie wiedziano jednak, kiedy to stało i która maszyna przyprawiła Żaka o tak okropną śmierć.



Dopiero przez zbadanie spodów i kół kilku maszyn stwierdzono, że na pół godziny przed znalezieniem zwłok Żaka przejechała go maszyna, wyjeżdżająca z ogrzewalni do południowego pociągu osobowego. Prowadził ją tyłem maszynista wraz z palaczem i przesuwaczem. Żaden z nich nie zauważył Żaka. Wszyscy trzej zostali pociągnięci do odpowiedzialności. — Nieszczęśliwy osierocił żonę i kilkoro dzieci.

(K. K.) **Dręczenie koni.** We wtorek dnia 23 stycznia b. r. odbywał się w mieście powiatowem Strzyżowie jarmark. Z jarmarku tego wracało kilku żydów. Wjechawszy w zaspę śniegu, nie mogli wyjechać i powożący zaczął bić tak nielitościwie konie, że aż jeden upadł na ziemię. Zobaczył to pewien gospodarz i doradził żydom usunąć zaspę łopatami. Gdy to wykonano, podźwignięto zbitego konia i odprowadzono na bok, a jednym wyjechano, następnie przyprzągnięto drugiego i jadący powlekli się dalej. Dręczenie koni, tak pożytecznych zwierząt dla człowieka, zasługuje na surowe potępienie.

(J. L.) **Samobójstwo w obłędzie.** Dn. 24 stycznia w gminie Jachówka, w powiecie myślenickim, gospodarz, Jan Pasterz, pokłóciwszy się z żoną i córkami, wziął powróz i wyszedł z domu do pobliskiego lasku grabowego. Nazajutrz sąsiedzi znaleźli go już nieżywego w tymże lasku. Był on chory na umyśle i już przed paru laty sam sobie brzuch pokaleczył nożem.

(J. L.) **Nieszczęście w drodze.** W ubiegłym tygodniu dwóch gospodarzy z gminy Rudnik, powiatu myślenickiego, wybrało się do sąsiedniej wsi, Kszystkowic, do tamtejszego kowala, w celu okucia koni. Gdy odbyli połowę drogi raptownie spłoszyły się konie i urwały lejce, pędząc gościńcem w kierunku Krakowa. Gdy zobaczyły fury jadące z Kra-

kowa a zamierzające im przeszkodzić w dalszym pędzie, skręciły w bok na pola, uderzyły o drzewa przydrożne i wywróciły wóz tak nieszczęśliwie, że zabiły chłopa na miejscu. Niech zatem ten wypadek będzie przestrogą dla gospodarzy, którzy hodują młode i płochliwe konie, aby się ostrożnie z nimi obchodzili, jeżeli chcą uniknąć nieszczęścia.

Nagły zgon. Dnia 25 stycznia zmarł nagle niejaki Józef Szczypta, lat 50, z gminy Wola gołego w powiecie tarnobrzeskim. Powracał on od pokątnego lekarza z Mielca. Kupił sobie bilet kolejowy do Baranowa i na stacyi w Mielcu nagle zmarł.

(J. K.) **Jasełka**. W Głowience, w pow. krośnieńskim, dnia 26 i 28 grudnia i w Nowy Rok odbyły się Jasełka staraniem p. Maryi Wierdakówny, nauczycielki miejscowej. Jasełka podobały się bardzo licznym uczestnikom pięknego widowiska religijnego; p. nauczycielce należy się uznanie za staranne ich urządzenie.

(J. K.) **Ostrożnie z ogniem.** Dnia 14 stycznia w niedzielę, we wsi Rajbrocie, pewna gospodyni, dawszy krowom jeść wieczorem, odeszła do chaty, nie zauważywszy, że zapuściła w stajni ogień od zapałki. Skutek nieostrożności był fatalny; spaliła się stajnia a w niej dwie krowy i byczek.

(J. K.) **Ile batogów dostaje dorożkarski koń?** Jadąc z Krasnego do Buska a nie chcąc siedzieć bezczynnie, począłem rachować, ile batogów da żyd koniowi. I nie uwierzycie kochani czytelnicy, że na przestrzeni 7 kilometrów dostało biedne zwierzę ni mniej ni więcej tylko 268 batogów. Jeżeli zaś się zważy, że żyd jeździ dziennie tam i napowrót ośm razy, to biedne konisko zbierze 2144 batogów w jednym dniu. Nic więc dziwnego, że taki koń to szkielet pokryty skórą twardą jak podeszew I dziwić się należy, jak ludzie mogą tak niemiłosiernie obchodzić się ze zwierzęciem, wszak ono ciężko pracuje, by człowiek miał kawałek chleba dla siebie i rodziny.

(J. K.) **Ukarali żyda** Żyd z Gołogór, w powiecie złoczowskim, nazwiskiem Majer Met, bawił chwilowo we Lwowie, gdzie stanął pod kawiarnią »Wiedeńską« i stał jak malowany. Stójkowy zwrócił mu uwagę, że policya zabroniła w tem miejscu »stojących posiedzeń«, gdyż w ten sposób tamuje się przechód innym ludziom. Jednak dumny Met pomyślał: »gadaj sobie zdrów« i stał nadal. Skutek był taki, że mądrego żyda zaprowadził stójkowy na policyę, gdzie go ukarano grzywną 20 koron. I dopiero teraz zapłakany żydowina zrozumiał, że trzeba stójkowego słuchać, chociaż on nie ma na sobie futra, lecz zrozumiał troszkę za pózno.

Wódka przyczyną śmierci. We wsi Iwkowy, w powiecie brzeskim, dnia 17 stycznia umarł, wracajac z jarmarku lipnickiego, młody 20-letni człowiek. Szedł z ojcem, bratem i szwagrem; wszyscy będąc pijani nie zwracali uwagi, że on pozostał w lesie. W domu również jego braku nie zauważyli. — Dopiero o północy znaleźli go w lesie bez życia.

(J. B.) **Sędziwy wiek.** Dnia 26 stycznia zmarł w Cieszynie w bardzo podeszłym wieku, 95 lat, niejaki Henryk Lustig. Pogrzeb staruszka odbył się 28 stycznia b. r.

(F. K.) **Wypadek z bronią** Dnia 22 stycznia Winkler, gospodarz w Górnych Błędowicach, czyścił swoją dubeltówkę. Przedtem jednak nie zauważył, że strzelba jest nabita i obchodząc się z nią nieostrożnie zawadził o kurek. Strzelba wypaliła, trafiając w głowę murarza, zajętego właśnie bieleniem sali u Winklera. Prawie wszystkie śruty trafiły w prawą część twarzy. Zawezwano lekarza, który po zbadaniu chorego kazał go zawieźć do szpitala w Cieszynie, lecz tam po operacyi skonał. Zostawił żonę i pięcioro małoletnich dzieci.

(J. B.) **Nowy kościół**. W Polskiej Ostrawie, na Śląsku austr., pod starym kościołem jest ochronny filar z węgla, wartości około 4 milionów koron. Zarząd kopalń hr. Wilczka postanowił wyzyskać to bogactwo węgla i zdecydował się na zburzenie starego kościoła i wybudowanie nowego własnym kosztem. Kościół ten zewnątrz i wewnątrz odfotografowano i nowy ma być w zupełnie tym samym stylu wybudowany. Tymczasowo wystawi się drewniany kościół. Nowy będzie większy od obecnego, a koszta jego wyniosą przeszło 100.000 kor.

(J. B.) **W szczęściu nieszczęście**. W Dziedzicach, na Śląsku austr., otrzymał niejaki Franciszek Döppler, wyrobnik w hotelu na dworcu, rodem z Lipnika, uwiadomienie ze sądu, że bliski krewny jego, który był kapitanem w Dolnej Austryi, nagle zmarł, i że pewna część majątku przypada na niego. Z radości mocno sobie podpił, lecz wskutek zatrucia alkoholem dostał krwotoku i umarł w stajni hotelowej. Rozniosło się jednak, że go żydek, szynkarz z gospody wyrzucił, gdy już pieniędzy nie miał i że wskutek uderzenia głową o kamień tak się pokaleczył, że umarł. Dlatego odbyła się sekcya zwłok przez komisyę sądową, która jednak orzekła, że umarł śmiercią naturalną.

(J. B.) **Smutny wypadek.** W Trzyńcu, na Śląsku austr., zdarzył się dnia 30 stycznia, przy budowie nowej walcowni, nieszczęśliwy wypadek. Cieśla Szlam razem z innymi niósł duży kawał drzewa. Noszak złamał się i drzewo ześliznęło się na Szlama, który upadł głową na szynę i odniósł ciężkie rany. Hutnicze pogotowie ratunkowe odwiozło Szlama do szpitala.

(J. B.) **Pierwsze nieszczęście przy nowym szybie.** Dnia 23 stycznia, około godz. 10 w nocy, został śmiertelnie poraniony górnik Szymurda z Dolnej Suchej w nowo powstającym szybie w Górnej Suchej, na Śląsku austr., i w sześć godzin później wyzionał ducha.

Śmierć przy pracy. Podczas budowy kamienic, mimo środków ostrożności, często zdarzają się katastrofy, pociągające za sobą ciężkie kalectwo lub nawet śmierć robotników.



Niedawno temu przy budującej się w Wiedniu czteropiętrowej kamienicy, pracujący przy schodach na najwyższem piętrze rzemieślnik poniósł straszną śmierć. Klatka schodowa nagle runęła w dół i biedaka pogrzebała pod stosami desek i spoideł żelaznych. Obrazek nasz przedstawia tę katastrofę.

(J. B) **Nieszczęśliwy wypadek**. Dnia 27 stycznia, o godz. 6 rano, zdarzył się w Piotrowicach, na Śląsku austr., we fabryce hr. Larischa, smutny wypadek. Pewien robotnik, bardzo pracowity i uczciwy, zawsze trzeźwy, dotknął się jakimś sposobem drutów elektrycznych i poniósł śmierć na miejscu. Nieszczęśliwy pozostawił żonę i kilkoro drobnych dzieci.

(J. B.) **Przejechany przez pociąg.** Dn. 30 stycznia rano przechodził tor kolejowy na szybie Eleonory w Orłowej, na Śląsku austr., wyrobnik Jan Janicki, rodem z Galicyi, i chciał podleźć popod wagon, lecz w tym momencie ruszył pociąg i przejechał go na śmierć. Janicki był nieżonaty.

(J. B.) **Trzy osoby zatrute.** Przed kilku dniami przygotowała żona Seeligera w Boguminie, na Śląsku austr., potrawę z ananasów, którą następnie spożyła z mężem i córką. Następnego dnia pokazały się u wszystkich objawy zatrucia; wszystkie trzy osoby zmarły wkrótce.

(J. B.) **Znaleziony trup.** W Raszkowicach, na Śląsku austr., przy moście ks. kardynała Koppa znaleziono zwłoki robotnika Neugebauera, pracującego przy budowie magazynu. Komisya uznała, że śmierć nastąpiła wskutek zmarznięcia. Neugebauer pochodził z Czechowic.

(J. B.) **Śmierć obłąkanego.** W Żukowie przy Cieszynie, na Śląsku austr., żył niejaki Pisz, który przed paru dniami, podobno w napadzie szału, dobył noża i rozciął brzuch sobie i małżonce. Oboje przewiezieni zostali do szpitala w Cieszynie, gdzie obłąkany zakończył życie.

Zakład o wypicie 3 litrów wódki. W miejscowości Weng pod Linzem, w Górnej Austryi, właściciel zagrody włościańskiej, 42-letni Ferdynand Trausch, założył się z parobkiem Sallingerem, że wypije w ciągu godziny trzy litry wódki. Już po wypiciu drugiego litra padł Trausch na ziemię bez zmysłów i wkrótce potem zmarł. Pozostawił po sobie wdowę i ośmioro dzieci. Oto skutki szalonego zakładu. A iluż to ludzi upatruje w tem punkt honoru, aby mieć sławę »mocnej głowy« i bez miary wlewać w siebie trującą i zabijającą gorzałkę.

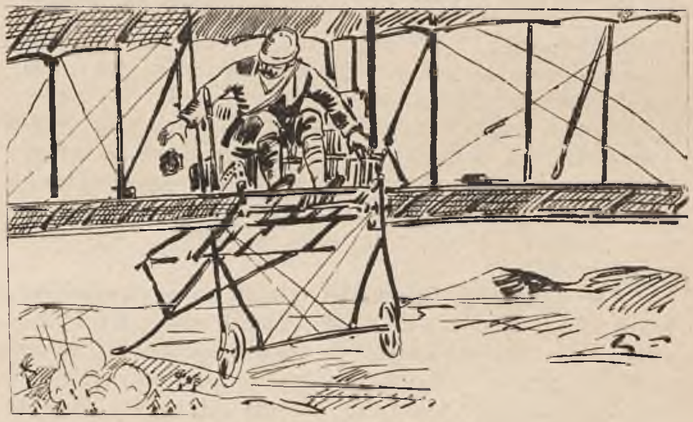
Wdzięczność zwierząt. Proboszcz z Goworowa, (gubernia łomżyńska w Królestwie Polskiem), ks. Antoni Brykczyński, podaje w jednej z gazet następujący przykład wdzięczności zwierząt: »Gospodarz z mojej parafii, Karolak, ze wsi Rembisz, ma dwuletniego buhaja, którego sam wyhodował i wypieścił. Otóż gdy raz Karolak był na polu sąsiada, buhaj z drugiej wsi rzucił się na niego, obalił na ziemię i depcąc racicami, połamał mu trzy żebra. Byłby go z pewnością zabił, ale szczęściem ujrzał to i usłyszał jęk swego pana ulubiony byczek Karolaka.



»Bez względu na to, że stary buhaj był od niego dwa razy większy, rzuca się na niego, bodzie rogami, przez to ściąga na siebie złość rozwścieczonego byka, który porzuca Karolaka a zwraca rogi przeciwko nowemu nieprzyjacielowi. Wtem nadbiega pies Karolaka i zaczyna gryźć buhaja. I w ten sposób obydwa te poczciwe zwierzęta od niechybnej śmierci dobrego pana swojego ocaliły, bo dały czas ludziom do przybycia z pomocą. Niechaj te przykłady wdzięczności zwierząt będą dla ich właścicieli zachętą do dobrego obchodzenia się z tymi swoimi pomocnikami w gospodarstwie, bo zarówno ludzi, jak zwierzęta łatwiej zjednywa się łagodnością, niż surowością«. W istocie zadziwiającym jest ten przykład wdzięczności poczciwych zwierząt. Wypadek przedstawia nasz obrazek.

Napad na plebanię. Dnia 24 stycznia wieczorem we wsi Chruszczobród, położonej w powiecie będzińskim, guberni piotrkowskiej, w Królestwie Polskiem, 6 bandytów napadło na plebanię. Nie zastawszy proboszcza, ks. Smurzyńskiego, obezwładnili obecnych i służbę i zrabowawszy znaczną gotowiznę, usiłowali zbiedz. Kiedy bandytów dopędzili strażnicy, wywiązała się obustronna strzelanina. Zabici są dwaj bandyci, jednego zaś ujęto. W okolicy dokonano licznych aresztowań.

Latawce w wojnie. Pisaliśmy już, że pierwsi Włosi w obecnej wojnie wprowadzili latawce, z których rzucali mordercze pociski na oddziały wojska tureckiego i Arabów.



Na obrazku naszym widzimy unoszącego się na latawcu w powietrzu oficera włoskiego, w chwili gdy rzucił bombę na wojsko tureckie, która wybuchając dokonała wielkiego zniszczenia wśród Turków.

Obłęd skąpstwa. Nie ulega wątpliwości, że wielkie skąpstwo przy dostatecznych środkach utrzymania, odmawianie sobie zaspokojenia koniecznych potrzeb życiowych przy gromadzeniu równoczesnem znacznych sum, jest obłędem. Oto nowy jego przykład. W Miasteczku Tolkewitz pod Dreznem umarł emerytowany dyrektor szkoły, Rademacher, który przez długie lata żył ze swoją jedyną córką w bardzo opłakanych stosunkach pieniężnych. Uważano go za człowieka wprost ubogiego. Niedawno umarła jego córka, a w tych dniach poszedł za nią ojciec, w obu zaś wypadkach stwierdzili lekarze śmierć z powodu wycieńczenia na tle niedostatecznego odżywiania się. Tymczasem przy uprzątaniu pomieszkania, a raczej izby okazało się, że Rademacher był człowiekiem bogatym, ale chorobliwym sknerą. W czterech skrzynkach na cygara znaleziono gotówką 140 tysięcy koron, w innym zaś schowku 160 tysięcy marek w papierach wartościowych. Zmarły dziwak cały majątek przekazał testamentem towarzystwom ochrony zwierząt w Berlinie i Wrocławiu.

Trzystu kandydatów na malowanych mężów. O zabawnym wypadku donoszą gazety londyńskie. Do pewnego biura w Londynie udała się jedna pani, Wiedeńka, z zapytaniem, czy nie byłoby w możności dostarczyć jej drogą ogłoszeń męża, któryby jednak zaraz po ślubie cywilnym rozszedł się z nią, a otrzyma za to tysiąc koron wynagrodzenia. Gdy tę propozycyę na tytularnego męża ogłoszono, zaraz pierwszego dnia napłynęło sto listów, każdego zaś dnia następnego listonosze znosili całe ich stosy. — Wielu z tych amatorów małżeństwa dołączyło też opis powierzchowności swojej, widocznie w cichej

nadziei, że nieznana dama, zachwycona ich wdziękami, zaniecha, po głębszej rozwadze, rozstania się z mężem kupionym. Jeden z kandydatów wypowiada nawet nadzieję taką otwarcie. Pośpiechu znów żąda pewien żołnierz pułku szkockiego. Gotów jest uczynić wszystko, ale sprawa musi być załatwiona w ciągu trzech dni i pieniądze zgóry nadesłane. Wogóle większości kandydatów chodzi przedewszystkiem o otrzymanie zaliczki na rachunek przyobiecanego wynagrodzenia. Pewien młodzieniec 16 letni, pracujący w jednej z kopalń węgla Lancashiru, pisze, że jest także gotów poślubić nieznajomą i w tym celu weźmie urlop dwudniowy, ale musi otrzymać zgóry wynagrodzenie. Nawet pewien 79-letni starzec uważa się za godnego wystąpienia w roli małżonka i popiera propozycyę swoją temi słowy: »Liczę co prawda 79 lat, ale wyglądam stanowczo dzielnie. Dotąd wpłynęło przeszło 300 listów od kandydatów do tysiąca koron.

Straszny wypadek w czasie nabożeństwa. W miejscowości Foix, we Francyi zdarzył się straszliwy wypadek. W kapliczce, w pobliżu głównej szosy, odprawiał ksiądz nabożeństwo; do mszy usługiwało dwóch chłopców. Nagle oberwała się ze stoku góry, u której stała kapliczka, olbrzymia skała i runąwszy na dach kaplicy zamieniła ją w gruzy. Kapłan i chłopcy zginęli. Wśród ludu, otaczającego kapliczkę, powstał straszliwy popłoch. Stwierdzono, że w miejscu, gdzie oderwała się skała, wybuchły gorące źródła.

Ile zjadają dziennie wojska europejskie? Dziennikarz włoski, E. Mole, zadał sobie trud obliczenia, ile też artykułów żywności spożywają w ciągu doby armie sześciu mocarstw europejskich t. j. Anglii, Francyi, Niemiec, Austryi, Rosyi i Włoch. Stan czynny tych armii podczas pokoju oblicza Mole 3 miliony głów. Otóż na wyżywienie tych olbrzymich zastępów potrzeba dziennie: 45.000 centnarów chleba, 30.000 centnarów mięsa, 15.000 cent. konserw mięsnych, 6000 cent. ryżu, 1800 cent. słoniny i innych tłuszczów, 1200 centn. soli, 1800 centn. cukru, 1440 cent. kawy i 7500 hektolitrów wina (we Francyi i we Włoszech). Do tych liczb doliczyć należy jeszcze ziemniaki i jarzyny. Według obliczenia Molego utrzymanie tych armii na stopie wojennej pochłaniałoby 200 milionów koron dziennie. Zatem w razie ogólnej wojny europejskiej, w której brałyby udział wszystkie mocarstwa, potrzebaby było na samo wyżywienie tych armii miesięcznie sześć miliardów koron.

Runięcie skały na pociąg. Straszliwa ta katastrofa zdarzyła się na jednej z południowych linii kolei francuskiej, na jakie 2 klm. przed stacyą. Podróżni usłyszeli nagle jakby głuchy odgłos grzmotu, a równocześnie pociąg nagle zatrzymał się.



Ci, co jechali pociągiem mogą jeszcze o szczęściu mówić, że spadające masy skalne stoczyły się właśnie na lokomotywę, tender (wóz z węglami) i wóz bagażowy. Palacz na czas jeszcze zeskoczył z tenderu, natomiast maszynista został formalnie zmiażdżony. Z podróżnych nikt nie ucierpiał w katastrofie, którą przedstawia nasz obrazek.

Sułtan marokański w podróży. Sułtan Marokka, północno-afrykańskiego kraju, należy do tych władców, którym stale, nawet w podróży, towarzyszy znaczna liczba żon, tak zwany harem. Harem sułtański jest oczywiście strzeżony jak źrenica oka przez oddziały wybranej straży. Gdy orszak sułtański rozbija namioty, wówczas namioty dam haremowych ustawia się na przestronnym i wygodnym placu w samym środku obozu.



Grupę tych namiotów otacza gęsta straż najwierniejszych wybrańców sułtańskich. Te namioty haremowe urządzone są bardzo bogato i z nadzwyczajnym przepychem. Nasz obrazek przedstawia właśnie taką, strzezoną pilnie, grupę namiotów haremowych, na tle rojnego obozu sułtańskiego.

Niemcy w Ameryce. Liczba Niemców w Stanach Zjednoczonych zmniejsza się z roku na rok. Według zestawień cyfrowych zmniejszyła się w roku 1910 o 11 procent. W roku 1910 liczba Niemców w samym Nowym Jorku zmniejszyła się o 44.998.

Wierny i przywiązany koń. Pewien europejczyk, bawiący w gościnie u krewnego w Ameryce, jechał z nim razem do pobliskiego miasta. — Przy drodze, którą jechali, leżał lasek nieduży; w chwili, gdy się do niego zbliżyli, zaczęły się konie widocznie niepokoić, parskać i iść dalej nie chciały. Gość z Europy zsiadł z konia, a oddawszy uzdę przyjacielowi, poszedł w gęstwinę, chcąc zbadać przyczynę ich niepokoju. W pyle ścieżki ujrzał ślad jakiegoś ciężkiego przedmiotu wleczonego po ziemi. Udał się tedy za śladem i znalazł zwłoki zabitego mężczyzny. Ciało nie było jeszcze całkiem zastygłe, snać zbrodnią została niedawno spełniona. Nieszczęśliwemu zadano kilka ran głębokich, z których krew obficie płynęła; odzież jego, choć cała krwią zlana, bogato była szyta i kazała w zamordowanym domyślać się zamożnego człowieka. Obok leżące zrabowane torby podróżne stwierdzały ten domysł. Nadchodzący Amerykanin poznał w zabitym znajomego adwokata.

Kiedy obaj mężczyźni przypatrywali się zwłokom, usłyszeli rżenie i parskanie konia, oraz głuche uderzenia jego kopyt o ziemię. Udali się więc w las w kierunku, skąd ich hałas ten doszedł i powrócili wkrótce, wiodąc za sobą wspaniałego konia najczystszej rasy, który należał do adwokata. Biedne zwierzę wzruszający przedstawiało widok. Drżąc na całem ciele upadło prawie na ziemię na widok ciała swego pana. Z głową i szyją wyciągniętą naprzód, grzywą najeżoną, a pałającym wzrokiem patrzyło przed siebie i zbliżało się powoli ku miejscu, gdzie leżał pan jego. Tu schyliło głowę i obwąchało ciało leżącego, a przekonawszy się, że to rzeczywiście pan jego, jak pies polizało jego zimne ręce.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Panu A. R w Laskówce: »Rola« nie jest żadnym organem stronnictwa, bo organem nazywa się pismo polityczne, »Rola« zaś jak każdy Czytelnik wie, politycznego działu nie posiada »Rola" jest pismem oświatowem i chce, aby jak najwięcej ludzi czytało i ją i wszystkie inne dobre gazetki, bo u nas czyta się za mało, a nie za dużo! — Stanisław Mazur w Z.: Dziwna rzecz dlaczego Pan słowa ogólne wziął do jednej gazetki, kiedy my nie mieliśmy na myśli ani tej, ani onej, tylko złe. Nie zaczepiamy nikogo i zaczepiać nie będziemy, bo dość już swarów i waśni na świecie a zwłaszcza w polityce. Nikomu nie służymy tylko oświecie ludu, o czem wie każdy, kto nas stale czyta. — Gabryel Jarosz w K.; Myli się Pan, twierdząc, iż go szczęście ominęło — ma Pan bowiem nr. 2046 a wszyscy, którzy mają numer zakończony na 6 wygrali książki do nabożeństwa. Trzeba tylko przysłać 40 hal na koszta poleconej przesyłki a odwrotnie książkę wyślemy. Kalendarz wysłaliśmy zaraz na drugi dzień po otrzymaniu prenumeraty; że nie doszedł, wina poczty. Obecnie wysyłamy drugi przez Dyrekcyę poczt. Gdy tylko numer nie dojdzie, niech Pan reklamuje a my postaramy się, aby poczta wypełniała należycie swe obowiązki. Za pozdrowienia dziękuję i nawzajem Panu przesyłam. Edmund Zawiła w Cz.: Owszem, wolimy prozę, gdyż wierszy mamy taką moc, że wystarczyłoby ich na kilka lat, choć i wiersze Pańskie dobre. — Antoni Durańczyk w Ł.: I nam przykro, że los Panu nie poszczęścił, ale niepotrzebnie przysyłał Pan 60 hal., gdyż my tylko tych wzywali do przysłania na przesyłkę Podarku, których numera kończyły się na 6 i tych, któ ych numera, imiona i nazwiska były w »Roli" wydrukowane, a którzy Podarki wylosowali. Nikt, kogo los ominął, nie powinien mieć do nas żalu, gdyż my nie możemy za 4 Kor. prenumeraty dać wszystkim Podarków po kilka koron, bobyśmy nie mieli za co gazety drukować. I tak Podarki zupełnie bezpłatne kosztują nas kilka tysięcy koron. — Jan Szeliga w M.: Cieszy nas, że »Rola« tak bardzo Panu się podoba. Artykulik, jakiego sobie Pan życzy, będzie wkrótce w »Roli«. Książki gospodarcze posiada Macierz polska we Lwowie, której ogłoszenie drukujemy w »Roli«. Że sprowadzeniem uli niech się Pan wstrzyma do wiosny, bo teraz niedobrze pszczoły przewozić. Gdy się dowiemy, ktoby miał pszczoły na sprzedarz, zawiadomimy Pana w »Roli«. — Paweł Woźniak w S.: Cóż my na to poradzimy, że się tak stało, może później będzie lepiej. — Franciszek Kapałka: Nadesłana humoreska zbyt znana, abyśmy ją mogli drukować. — Marya Wawrzyk w P.: Nadesłana humoreska p. t. „Wesoły złodziej" była już w „Roli" drukowana; opowiadanie p. t. »Dobry gospodarz« jest również powszechnie znane. Za słowa uznania tak my, jak i Maciek, serdecznie dziękujemy. — Karol Powroźniak w S.: »Przygoda kawalera na zalotach« wesoła, ale dla »Roli« trochę za... pieprzna! Dawniejsze utwory leżą przedewszystkiem z tego powodu, że pismo bardzo nieczytelne — musimy je do druku przepisywać, a obecnie ogromnie czasu brak. Teraz pismo całkiem wyraźne i prosimy tak dalej pisać a wszystko wnet będzie drukowane. — Obywatel z Polanki wielkiej: Ażeby Komitet kościelny i Rada gminna były dobrymi trzeba wybierać do nich ludzi rozumnych i uczciwych. Rozpisywanie o tych sprawach w gazetkach nikogo nie poprawi a tylko zaognia stosunki w gminie. — Jan Henner w O.: Nieodebrane »Podarki szczęścia« znów rozlosujemy, tak nikomu posyłać nie możemy, bo byłoby to z krzywdą innych. — Jan Mirek w L.; Musimy tak postępować, jak to ogłaszamy; gdybyśmy jeden wyjątek uczynili, niktby nam nie wierzył. — Jakób Potoczny w I.: Książki takiej żadna księgarnia krakowska nie posiada. — Stanisław Koza w S. W: Cieszą nas bardzo słowa listu Pańskiego. Podarek rzeczywiście należał się Panu i został natychmiast wysłany. — Jan Chlebno w K.: O losowaniu „Podarków szczęścia" pisaliśmy już obszernie. Wygrali podarki ci wszyscy, na których padł los, a tych było 972. Wszyscy nie mogli wygrać, gdyż Administracya nie jest zakładem dobroczynnym, ale musi starać się, aby każdy prenumerator za swoje 4 kor. mógł cały rok otrzymywać gazetkę. Gdybyśmy całą prenumeratę przeznaczyli na »Podarki szczęścia« na wydawanie pisma nie byłoby pieniędzy. — Adam Jesionek w Ch.: Autorem pierwszej powieści jest Ostrowski, drugiej Verne. — Andrzej Strzeboński w M.: Dodatkowe losowanie odbędzie się w ten sposób, co i pierwsze. Komu los poszczęści, my nie wiemy. Oczywiście wszyscy wygrać nie mogą. — Feliks Szewczyk w R.: Zagadek i wierszy mamy tak wielką ilość, iż trudno nam oznaczyć z góry, co kiedy będzie drukowane. Ot i teraz nadesłane rzeczy niezłe: ale naprzód oznaczyć nie możemy, kiedy je wydrukujemy. Marcin Wałęga w R.: Że kartki w kalendarzu ktoś potargał myśmy temu nie winni, mimo to wysłaliśmy drugi. — Antoni Rymanowski w R.: Tego roku kalendarzy ściennych nie wysyłaliśmy. Marya Prajerówna w L. M.: »Z dni łez i mordu« zupełnie dobre i o takie rzeczy nadal prosimy, tylko nieco krótsze, aby się na jednej stronie »Roli« zmieściło Wiersz również udatny. — Kazimierz Dudziński w L.: Gdzie jest »Diorama« obecnie, nie wiadomo nam; w Krakowie jej niema. Reprodukcyi, o które Pan pyta, jeszcze niema. — Szymon Hanusiak w Ch.: Wszyscy prenumeratorzy całoroczni, którzy nadeśla prenumeratę przed losowaniem dodatkowem udział w niem brać będą. — J. Kubała w Z.: Osobnych odbitek owych powieści nie mamy. — Franciszek Siekaniec: Legendę otrzymaliśmy. — Feliks Wolański w D.: Nagrody za dobre rozwiązania losujemy, a więc nigdy z góry nie możemy wiedzieć, komu je los wyznaczy. Aby nagrodę otrzymać trzeba wszystkie zagadki rozwiązać i mieć szczęście, aby los nagrodę przeznaczył. Nagrody wysyłamy opłatnie. Co więc zrobić z nadesłanemi markami?

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Ułożył Piotr Lipowiak).

Pierwsze z drugiem przykrość sprawia,
Trzecie z czwartem radość mamy,
Czwarte z piątem was pozdrawia.
Całość? Całość dobrze znamy:
Pisarz co umarł a żyje,
Choć śpiewali mu »Requie«.

2. SZARADA.

(Ułożył Wład. Dubaj).

Drugie i trzecie bardzo pielęgnują
Szczególnie panienki tem się spodobują,
Pierwsze, także trzecie, murarzom to służy
Do wyprawy murów, choć to bardzo nuży,
Drugie pierwsze drzewo śliczne
Koło domów dosyć liczne,
A zaś całość bywa bardzo używana
Dla mężczyzn i kobiet teraz kupowana.

3. SZARADA.

(Ułożył Franc. Siekaniec).

Pierwsze litera albo samogłoska,
Gdy ją dziecię pozna już zadziera noska,
Drugie jest to dla mnie wesoła zabawa,
Całość w rzędzie metali także śmiało stawa.

4. ZAGADKI.

a) Litera na literze w młodości człowiek bierze; kto jej nie posiada, temu stokroć biada.

b) Mam zęby i gryzę, co zgryze wyzuje, a z wielkiego głodu zawsze pomrukuję.

5. TAJEMNICZY BILET.

(Ułożył Antoni Żelazny).

Izydor Nunbin
Żywiec

Znaczenie: odgadnąć z powyższego imienia, nazwiska i miejscowości zawód tej osoby.

6. SZARADA.

(Ułożył Adam Rzeżwicki).

Żołnierz, gdy na pierwsze z drugiem
Śmiało idzie bić się z wrogiem
Ksiądz, gdy z tem mówi kazanie,
Często da się słyszeć łkanie;
Drugie z trzeciem, kto używa,
W dostatki ten nie opływa,
Rozbójnikiem nieraz bywa.
W domach swoich całość macie,
Jak nieprawda, to wy łgacie.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 17 lutego 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 4 »Roli«: 1. Szarada: **Pasterka,** 2 Kwadrat: **Napoleon,** 3. Przestawianka: **Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwą żywot cały, choć przeminie sama szparko, cios jej dłuta wieczno trwały,** 4. Szarada **Ustawy.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Raz w rok o północnej ciszy,
Do kościoła dzwon nas wzywa
I modlitwa rzewna, tkliwa,
W dziekczynieniu na pasterce
Bogu ludzkie składa serce,
A Bóg modły te rad słyszy.
Napoleon, jak w kwadracie,
Bojem przeszedł przez świat znany,
Wszerz i w ukos, miły bracie,
Jarzmił kraje — oceany.
Z błysków naszej krwi i szabel
Pycha jego tron mu przędła:
Runał przeto w pył jak Babel,
Zwiędła wielkość, sława zwiędła!
Gdy, ujęte w chytrą mowę
Usta, szczepią w duszach jady,
To w ustawach na to rady,
Dobry człecze, masz gotowe.

Korczak.

2.

»Rolo« moja, ja do ciebie dziś piszę,
Lecz o książce niech wnet słówko usłyszę,
Niechaj wygram, pewny będę już swego,
Rozwiązanie też wysyłam dlatego.
I w podróżną je dziś pakę spakuję,
Do Krakowa niechaj Wisła steruje.
W Rakowicach na pasterce nie byłem,
Bo po drodze gdzieś kapelusz zgubiłem,
Z Jarosławia go kapelan odnalazł,
Podarował go Elżbiecie tam za las.
Ja po stracie tej śpiewałem kolędy,
Gdyż przestali je śpiewać już wszędy.
Napoleon pewnie kolęd nie śpiewał,
Bo on hasła wciąż do bitew przygrywał.
Krasińskiego też potrosze znam wiersze,
Lecz Bogusi nic nie powiem, nie ciesz się.
Przestawianka jej jest trochę za łatwa,
Może nawet ją rozwiązać i dziatwa.

A Jan Pożdał tak ułożył szaradę,
Że ja gotów byłbym zacząć z nim zwadę,
Czemu nie rzekł, gdzie szarady jest całość.
Ja nie mogę jej rozwiązać, mam żałość.
Lecz poczekaj sobie trochę, ty Janku,
Bo ja książkę wnet dostanę, mój Panku!

Wojciech Cetera.

3.

Zasłużyłby na konierkę
A no juści pewno tem,
Gdybym nie szedł na pasterkę,
Choć raz w życiu swem.
Napoleon Bonaparte,
Co wojował het a het
Z Europy nową kartę
Wyrżnął przecież królom wnet.
Narzeka dziś niejeden,
Takie losy zrządził Bóg,
Kongres potem zrobił Wiedeń,
A ten zmienił plany dróg.

Józef Kulka.

4.

Któż nie wesół z onej chwili,
Gdy zstępuje z wiecznej chwały —
Król nad królmi w żłóbku kwili,
By odkupić rodzaj cały.
Lud głębokim snem uśpiony,
Kojąc w nim swą poniewierkę,
Gdy się rodzi Bóg wcielony,
A lud tem udowodniony,
Spieszy tłumnie na Pasterkę.
Z woli świętej Króla tego
Napoleon mocą władał,
Męztwem pokonał każdego,
Gdy na duchu nie upadał;
Aleć szatan skra swej złości,
Przebrnął ducha walecznego,
O! jak biedny, kto w młodości
Nie korzysta z losu swego;
O, bo młodość jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznie trwały.

Jak nam »Rola« zgodę sieje,
Za co godna wielkiej sławy;
Świat nam wkrótce zajaśnieje,
Żyjąc według jej ustawy.

Walenty Miśniak.

Oprócz tego w oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.:

Piotr Lipowiak z L., Zofia Oraczewska z Ż., Marya Synowcówna z S., Franciszek Teper z M. K., Karol Kuntschke z M. K., Józefa Hirschberg z K., Kazim. Welc z T., Koło Macierzy szkol. z S., Wojciech Moroń z Ł., Adela Bezokówna z K. M., Jan Bylica z P. (wierszem), Wojciech Kapuściński z L. (wierszem), Zofia Pawłowska z Z., Janina Midowicz z S., Fr. Migdał z S.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Gwiazda Sudanu*** wylosował p. **Wojciech Moroń** z Ł., zaś drugą p. t. ***Robinson Tatrzański*** p. **Janina Midowicz** z S.

Potwierdzenia prenumeraty.

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.:

Stan. Stachura z B., Jan Puchała z K. (2·50), Ant. Sowaj z J., Ant. Dzendzielarz z B., Mich. Horak z T, Jan Wiśniowski z Sz., Józef Osika z B., Michał Żuraf z Ł. (2·50), Michał Waśko z Ł. (2·50), Jakób Hamielec z B. (2·50), Józef Krzyżanowski z T. (2·50), Marszał Anna z M., Maciej Półchłopek z O., Jędrzej Dziadkowiec z Ch., Filip Bajor z C., Jan Rudziński z B., Jędrzej Szczerbik z W., Czytelnia Proświty z K., Jan Kapeć z L. (2·50), Grzegorz Staniszewski z W., Michał Stojak z B., Franc. Kapias z Ż.

Oprócz tego nadesłali PP.: Wojciech Szpunar z B. (1 K.), Grzegorz Sidko z Z. (1 K.), J. Tabaszewski z M (1 K.), Jan Danek z Z. (1 K.), Wiktorya Fijołkówna z G. (1 K.). Józef Łoboda z M. 1 K., Andrzej Tora z D. (1 K.), Jan Soboń z P. (1·50), Michał Puzio z D. (1 K.), Andrzej Boroń z K. (1 K). Józef Talaga z S. (1 K.). Franciszek Firla z G. S. (1·50 K).

Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 6 lutego

Pszenica	Kor.	11·70	do	12·05	za	50 kg.
Żyto	„	10·15	„	10·55		„
Jęczmień	„	9·30	„	10·10		„
Owies	„	9·35	„	10·—		„
Otręby pszenne	„	7·50	„	7·60		„
Otręby żytnie	„	7·50		7·60		„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 6 lutego

Buhaje	Kor.	110	do	200	za	sztukę
Woły	„	230	„	400		„
Krowy	„	130	„	300		„
Jałówki	„	120	„	240		„
Cielęta	„	25	„	84		„
Owce i kozy	„	18	„	26		„
Świnie (żywa waga)		124		140	za	50 kg.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.